



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

### Prenumerata w Warszawie.

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GEÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## POGA WĘDKA.

Najbardziej wymagający „willegiaturzysta“ nie mógłby chyba niczego więcej żądać od bieżącego lata; ma pogodę, ma słońca dużo, ale nie tyle, aby się topił nawet podczas kanikuły, ma zatem wszystko, czego tylko ciało zapagnie, no, i gdyby mógł jeszcze bez wszelkiego strachu zjadać grzyby, mizerya, śmietanę, kąpać się w zimnej wodzie i nie sobie nie robić z jakiejś tam epidemii, czegożby mu więcej potrzeba było na macierzyńskim łonie natury, w cieniu lasów, wśród woni łąk?...

Gospodarze pokręcają sumiastego wasa i śmieją się tubalnym głosem z zadowolenia, bo „obrodziło, kochany panie, jak w ziemi obiecanej, tylko ceny szelmowskie.“

To trudno, na coś przecież narzekać trzeba koniecznie; tak zresztą bywa zwykle: niema urodzaju — ceny wysokie, jest urodzaj — ceny niskie, ale że zawsze jakoś lepiej bywa, gdy spichrze nie próżne, nawet przy niskiej cenie, więc: „uszły do góry!...“

Gdyby tylko nie ta paskudna choroba, której się koniecznie zachciewa wydostać za granicę, bo coraz bardziej zbliża się do środkowej Europy i na ostatnim popasie zatrzymała się obecnie w Petersburgu.

Bóg wie, co ją tam ciągnie; przecież chyba nie wystawa muzyczno-teatralna w Wiedniu, na której może sama chce wystąpić w roli „czarnego charakteru“ czy tragicznej heroiny.

Byłby to, co prawda, jak dotychczas, debiut najefektowniejszy na tej wystawie, która, zdaje się — pozostanie już do końca sztucznie karmionem dzieckiem ks. Metternichowej i kto wie, czy nie skończy na galopujące suchoty.

W początku przyszłego miesiąca *mają* się na międzynarodowej scenie wystawowej popisować polscy artyści, śpiewacy i kompozytorowie; podkreślam ten wyraz „mają“, bo Bóg jeden wie tylko, czy będą.

Znowu słyszę, że coś się tam psuje w organizacji składanej opery, że udział Reszków — jak zawsze, niestety, gdy chodzi o zaśpiewanie swoim, u swoich, dla swoich, ze swoimi — jest podobno zakwestyonowany, że Mierzwiński nie ma ochoty śpiewać, bo jest obrażony, iż go zapóźno zaproszono, i inne tym podobne pogłoski nader sceptycznie usposabiają mnie co do owych popisów polskiej opery w Wiedniu.

Może to i lepiej, iż od samego początku wyraźające trudności w złożeniu jakiegoś programu i jakiegoś kompletu nie pozwoliły wybujać nadto naszym zarozumiałym ambicyom i nadziejom co do świetnego powodzenia polskiego teatru na wystawie. Zawód byłby potem tem przykrzejszy, a teraz każdy tryumf będzie tem większą i tem przyjemniejszą niespodzianką.

To jednak rzecz wcale zadziwiająca, że w normalnych warunkach teatr, scena, sztuka dramatyczna stanowią w naszym społecznym bilansie rubrykę bardzo ważną; zajmujemy się, piszemy, mówimy, zachwycamy, sprzecząmy się i godzimy w granicach tego przedmiotu przez cały rok długi, a kiedy raz na sto lat nadarza się sposobność pokazania światu naszej sztuki, naszej sceny, naszych artystów, naszej reżyserji, naszego repertoaru — robimy fiasco i zdobyć się nie możemy na wypełnienie trzech czy czterech wieczorów na wystawie teatralnej!...

I żeby to jeszcze z braku materiału, talentów, środków scenicznych, żeby nie było z czem wystąpić i kim się popisać, — ha, nie byłoby żalu, ale wszystko nie udaje się z braku zmysłu organizacyjnego i z braku energicznej solidarności.

Miała początkowo komedia polska i dramat stanąć na pogramie, mówiono o udziale Modrzejow-

skiej i Popiel-Święckiej, układano szczegółowe plany, odbywano narady, wybierano komitety, prowadzono układy i korespondencye, — na końcu pokazało się, że dobrej sztuki, dobrze obsadzonej i zagranej nie można będzie wystawić w Wiedniu.

Wówczas powiedziano sobie, iż muzyka musi ratować sytuacyę; zaczęto wybierać opery, rozdawać partye, traktować z naszymi „gwiazdami“, które oświecają dzisiaj horyzont opery europejskiej, i... najtrudniejsza rzecz zawiodła: harmonia w łonie samego komitetu.

Przed sześcioma tygodniami komitet się rozwiązał i wszystko miało zatonać w morzu kakofonii.

Z wielką biedą jakoś tam zestrojono znowu komplet panów radców od muzyki, rozpoczęto nawet próby z chórami, które mają śpiewać w „Halce“, zakupiono materiały na kostyminy, ogłoszono szczegółowy program i odezwę do publiczności, aby kupowała bilety.

Aż tu nagle słyhać, iż i popisy opery mogą być zakwestyonowane, bo jedni nie mogą, drudzy nie chcą śpiewać, kompletu zebrać niepodobna, a tu do terminu zapowiedzianych widowisk pozostaje zaledwie dwa tygodnie.

Konfuzjo, nimfo zkąd ty jesteś rodem?...

I skończyć się może wszystko niezem dlatego tylko, że nieumiano się zabrać należycie do rzeczy.

Zdaje się, że nogi uratują sytuacyę i polski balet reprezentować będzie jedynie polską sztukę dramatyczną, polską komedyą i polską operę.

Kiedy ktoś żartem proponował swojego czasu, aby organizacyę widowisk wystawowych powierzyć reżyserowi Teatru małego, znanemu ze sprytu i dobrych pomysłów kierownikowi tej scenki, brano to za wybrk dobrego humoru, — tymczasem przekonany jestem, że p. Ludwik Sliwiński byłby łatwiej temu sam jeden dał radę, aniżeli wszyscy delegaci i członkowie komitetów razem wzięci.

I bylibyśmy może zamiast wielkich dzieł



i świetnych gwiazd pokazali tylko Wiedniowi „Dziecko szczęścia“, albo „Lirniczkę z Sabaudyi“ z pn. Babińską w roli tytułowej, ale operetka byłaby przynajmniej doszła do celu, do którego ani dramatu ani poważnej opery doprowadzić się nie udało.

Zresztą, nie przesadzajmy wypadków, czekajmy jeszcze dwa tygodnie cierpliwie. Zobaczmy, co będzie.

Sztuka dramatyczna nasza może się nie popisać, jak jej przystało, za to sztuka malarska nie zawiódła. Oto na dwóch międzynarodowych wystawach artyści nasi zabłysnęli, i talentami swymi, i odblaskiem złotych medalów, które im udzielono.

W Berlinie Julian Fałat otrzymał duży medal złoty, w Monachium Alfred Wierusz Kowalski i Kazimierz Pochwalski takie same zdobyli nagrody; mniejsze medale dostały się znowu: Fałatowi, Chełmońskiemu i jeszcze jednemu z polskich malarzy. (Do tej chwili telegramy nie podały wyraźnie nazwiska tego trzeciego laureata).

Fałat, jako akwarelista, Pochwalski, jako portrecista, Kowalski jako twórca scen myśliwskich i rodzajowych, Chełmoński w ostatnich czasach jako pejzazysta, zdobyli już taką sławę zagranicą, że odznaczenia ich na międzynarodowych wystawach sztuki europejskiej nie stanowią prawie żadnej niespodzianki.

Jest to tylko wymiar sprawiedliwości krytycznej ze strony sędziów.

Artyści nasi wzięli to, co im się oddawna należało.

Coraz więcej muzeów, galerii obrazów publicznych i prywatnych zapełnia się utworami polskiego pędzla; przed dość niedawnym jeszcze czasem było to rzadkością wielką, aby w zbiorach zagranicznych znajdowały się obrazy naszych malarzy.

Początek ten, o ile wiem, zrobiła dopiero „Wojna“ Grotgera i „wielki Obraz“ Matejki, a odtąd szło już coraz szerzej i dzisiaj w pierwszorzędnym galeriach Wiednia, Berlina, Petersburga, Monachium wiszą obrazy polskich malarzy.

A ile ich dotychczas popłynęło za Ocean do Ameryki!...

Wielka szkoda, że się nie prowadzi podobnych katalogów wszystkich dzieł pędzla naszych artystów, jak to czyni z książkami bibliografia; jako materiał do dzieł twórczości byłby to przyczynek bardzo zajmujący i pouczający.

Sztuka nasza warta już swojego Estreichera.

Jakkolwiek to pora, w której ruch wydawniczy usypia razem ze wszystkim w sezonie, nie bez przyczyny nazwanym „sezonem martwym“, jednak i bibliografia nie może odłożyć całkowicie pióra; coś tam jednak od czasu do czasu i teraz zanotować należy.

Oto mam np. przed sobą sporych sześć tomów wszystkich „Pism“ Włodzimierza Spasowicza, wydanych w dwóch edycjach, po polsku i po rosyjsku, z portretem autora w Petersburgu. Zebrało się tu dużo rzeczy przemyślanych przez ten oryginalny i bogaty umysł krytyka, historyka literatury i publicysty, dużo gruntownych studyów i ciekawych poglądów, z którymi nie zawsze można się godzić; ale które poznać warto.

„Pisma“ Spasowicza to nabytek poważny i dla inteligentnego czytelnika zajmujący; wśród dzisiejszej posuchy na prawdziwe „dzieła“ w głębszym znaczeniu tego wyrazu, owych sześć tomów reprezentuje wydawnictwo obecnej doby nader poważnie i pokaźnie.

Możnaby o nich napisać studyum ciekawe ze względu na rzecz samą i na autora, przedstawiającego u nas odrębny typ myśliciela z własnym krytycyzmem i programatem, ale w pobieżnej wzmiance kronikarskiej trzeba poprzestać tylko na zaznaczeniu samego wydania.

Takiej wzmianki poważnej i zwrócenia uwagi na siebie dopomina się inna książka, która również rąk moich doszła w tym czasie, dla wydawnictw nie bardzo odpowiednim; tytuł jej: „Historia malarstwa we Włoszech;“ autorem znany estetyk i filozof hr. Wojciech Dzieduszycki.

Przed laty czternastu wydał on w małym tomiku swoje „Studia estetyczne“, w których zwięźle streścił rozwój sztuki u Greków, Rzymian i śre-

dniowiecznych Włochów, szczególnie z tak zwanej szkoły toskańskiej. Obecnie ten ostatni dział rozszerzony, opracowany znacznie staranniej, choć w wielu ustępach przepisany prawie dosłownie, wszedł do „Historii malarstwa“ we Włoszech, która powstała z dwunastu wykładów, jakie autor miał „w zamkniętym ale wysoce wykształconym kółku słuchaczy miłujących sztukę, lecz po największej części nieznających się na niej.“

Z tego względu utworzył się jakby cały kurs akademicki o dziejach malarstwa włoskiego z doby jego najświetniejszego rozwoju, sięgającej po wiek XVII-ty.

Powie ktoś, że nie łatwiejszego, jak pisać taką „Historię“, mając przygotowany materiał w tylu gotowych dziełach, studyach i podręcznikach obcych; zapewne, ale nasz autor ma tu zasługę swoją w tem, że własnymi oczyma patrzył, studyował, oglądał dzieła włoskich mistrzów i własnym kierując się wrażeniem, podał swoje oryginalne sądy o nich.

Książka przez to właśnie nabrała wartości pracy źródłowej i niepospolitej, rzeczywistego studyum, które czytane będzie z niemałym zajęciem i prawdziwym pożytkiem przez wszystkich, pragnących nabrać wyobrażenia o sztuce włoskiej i zapoznać się z jej dziejami.

Cheąc z ostateczności przenieść się w ostateczność, biorę do ręki pierwszą... kalendarzową jaskółkę, która wyprzedziła już całe stado, podobno aż z osmdziesięciu kilku zapowiedzianych noworoczników złożone, które niebawem rozsypać się ma na półkach księgarskich.

Dowcipny wydawca i redaktor „Muehy“, piszący pod pseudonimem Ner-Bucha, wypuścił już na bruk warszawski swego „Faceta“ z datą 1893-go roku.

Ten „Facet“, to kalendarzyk humorystyczny, który dowcipkuje wesoło i śmiechem wita nowy rok na pięć miesięcy...zawczasem; ale to nie szkodzi uśmiechnąć się przynajmniej *à conto*, zwłaszcza gdy w tem pośredniczy taki majster humoru swobodnego i lekkiego, jak Kostrzewski, zawsze dostarczający najdowcipniejszych rysunków z chwili bieżącej, lub nasi młodzi humorysty, ukryci pod rozmaitemi pseudonimami Krogulców, Franceśców, Dudusiów lub Paul de Cosiów.

Jest w tym „Facecie“ szczególnie z pomysłu i wykonania bardzo zabawny „Pamiętnik“ sztabaka w fac-similach kaligrafii i rysowniczych zepędów zepsutego malca, który opisuje swoje wrażenia z całego roku w domu i szkole.

A oto inna broszurka ale o strasznym tytule, która będzie miała także wyjątkowe powodzenie w tych czasach, bo na szeroką poczytność zasługuje.

Dr Józef Starkman, jeden z wybornych naszych popularyzatorów medycyny i higieny napisał rozprawkę o „Cholerze“, określając jej istotę, przyczyny, objawy, szerzenie się, sposoby zapobiegania i leczenie.

Jak łatwo poznać z takiego tytułu, rozprawka ta ma wartość aktualną, odpowiada potrzebom chwili bieżącej a odpowiada jej rzeczywiście, bo w sposób przystępny, zrozumiały, treściwy mówi o epidemii, której widmo przestaje nawet być tak przerażającym i groźnym w tym popularnym wykładzie lekarza, uśmierającego przesadne obawy czytelnika przez pouczenie go o rzeczywistych przyczynach niebezpieczeństwa.

Autor „Cholery“ przytacza zdanie znakomitego klinicysty krakowskiego Dra Dietla, który się wyraził, że ze wszystkich groźnych chorób zaraźliwych najłatwiejszą do wyleczenia jest cholera, byle się w porę zasięgnęło pomocy lekarza i nie lekceważyło jej najpierwszych objawów.

Czystość, dezynfekcja i życie higieniczne są najlepszymi środkami zapobiegającymi przeciw cholery.

„Czystość posunięta do pedanterii, do przesady, czystość bezwzględna!—woła D-r Starkman—stosować się powinna zarówno do mieszkań, odzieży, ciała, spożywanych pokarmów jak i do umysłu. Kto zatem ma schłodne i dobrze przewietrzane mieszkanie, kto zmienia często bieliznę, bierze ciepłe kąpiele, jada zdrowo przyrządzane pokarmy i gotowane owoce, pija gotowaną wodę, nie ma jakichś ciężkich strapień, nie boi się do-

stania cholery i nie przeziębii się—ten jej nie dośtanie. Dalej wystrzegać się trzeba wszelkiego rodzaju wypadków cielesnych, nadużyć, niedosypiania, wreszcie należy chronić pokarmy od przystępu much a lasecznik Kocha nie przyplacze się z pewnością.“

Nie wiem, jak na kogo, ale na mnie odczytanie tej broszurki zrobiło wrażenie poufnej rozmowy z jakimś poczciwym, troskliwym lekarzem domowym, który ma dar wlewania otuchy w pacjentów i uspakaja ich swoją pogodną twarzą i dobrimi radami.

Radzę wam przeczytać ją także, bo poza swoją stroną praktyczną przynosi ona i korzyść moralną, uspakajając umysł czytelnika.

A to w tych czasach szczególnie bardzo ważny.

Do ludzi najbardziej odważnych w Warszawie, którzy sobie z epidemią nie wiele robią, należą „nasi sprężyscy“, którzy pomimo zaleceń higienistów i lekarzy, aby unikać wszelkiego wysiłku i zmęczenia, urządzają wyścigi na bicyklach i pędzą po sto wiorst wśród upału z szybkością wichru.

Zeszłej niedzieli odbył się właśnie tak zwany „Record“ czyli wyścig na szosie grójeckiej do Tarczyna, w którym przyjął udział dwudziestu kilku cyklistów, ubiegając się o złoty żeton i dyplom najlepszego jeźdźcy u nas na żelaznym rumaku w całym Królestwie Polskiem.

— Mój drogi, co to wszystko znaczy wobec balonów!—mówił do mnie mój przyjaciel, zapalony zwolennik żeglugi nadpowietrznej, który od tygodnia chodzi z wypiekami na twarzy, przeczytawszy w jednym z Kurjerów wiadomość, iż do Warszawy zjechał ma niebawem jakiś aeronauta, który jednocześnie wypuści aż trzy balony i posybuje pod obłoki a w koszach swoich odstępkuje po sześć miejsce amatorom silnych wrażeń.

Signor Catalani, tak dźwięcznie podobno nazywa się pomysłowy impresario, w towarzystwie dwóch synów jest kapitanem tej balonowej floty.

Kto wie, może sobie urządzimy wyścigi w obłokach z totalizatorem na mokotowskim polu.

Pole to przypominało mi kłopot, jaki mają nasi lordowie; oto za rok konie ich i dżokeje nie będą mieli dla siebie terenu, gdyż dotychczasowy plac wyścigów otrzyma inną przeznaczenie.

Co począć?... o wyszukaniu płaskiego pola z wszelkimi warunkami dobrego toru nie łatwo w okolicy Warszawy. Powstał podobno projekt przeniesienia przyszłych wyścigów jeszcze dalej, niż za rogatki miejskie i skoro Francuzi mają swoje Chantilly, Anglicy Epsom, będziemy i my może mieli swoje Włochy, lub Pruszków, do którego jeździć będziemy koleją żelazną, aby z bijącym sercem podziwiać szybkość „naszych faworytów“ w sezonie wyścigowym.

Mniejsza o to, zarobi na tem kolej wiedeńska, ale co się stanie z pięknym *corso* w Alejach?... co się stanie z zaprzęgami, powozami, brekami, które dotychczas wiozły z Mokotowa strojne damy, pięknych kawalerów na publiczną rewią po Łazienkach?...

Gdybym miał choć kroplę krwi mokotowskiego sportsmena w moich żyłach, czułbym się wrzuszonym.

Niestety, mało mnie to obchodzi, gdzie zgrywać się będą amatorowie wyścigów przyszłych na totalizatorze i przynaję się do tego otwarcie.

Natomiast nie bez rzeczywistego wzruszenia patrzałem na powrót jednej z drużyn dziecięcych, która przybyła do Warszawy po mleczno - powietrznej kuraacji na wsi.

Widok to szczególny, mogący poruszyć nawet starego śledziennika i mizantropa.

Własnym oczom uwierzyć trudno, aby tych kilka tygodni, spędzonych na łonie natury pod dobrą i troskliwą opieką mogło takie korzystne spowodować zmiany. Jakoś to biedactwo wraca inne odżywione, odrodzone, zmienione niekiedy do niepoznania, a takie wdzięczne, takie zadowolone i ośmielone, jak nakarmione ptaszęta, które dobroczynna ręka wpuściła podczas mrozu do ciepłego pokoju.

Dotychczas udało się w roku bieżącym wysłać 27 partyi mizernych dzieciaków, a jeszcze pięć szykuje się wypraw.



# TOMCIO I ROMCIO

HUMORESKA

przez

ESTEJĘ.

„Z powodu spóźnionej już nieco pory — pisze *Kur. Warsz.* — niezmiernie ważną rzeczą jest zaopatrzenie dzieci w ubrania, zwłaszcza w zwierzchnią cieplejszą odzież, na co zapewne nie bezskutecznie zwracamy uwagę ludzi dobrej woli.

„Wygląd dzieci powracających ze wsi prawdziwą sprawią przyjemność.

„Po większej części są to dzieci inne, nietylko pod względem cery i tuszy, ale nadto dziwnie różne, rozweselone i ośmielone, grzeczne i umiające wdzięczność swą okazać.

„Dodatni wpływ moralny kolonii dorównywa a może i przewyższa wpływy zdrowotne.

„Kolonie wszędzie cieszą się wielką sympatią.

„Otrzymujemy wciąż wiadomości o serdecznym podejmowaniu dzieci, nie tylko przez samych gospodarzy, udzielających im gościnności, ale i przez sąsiednich obywateli, którzy już-to sami zjeżdżają w odwiedziny do kolonii, już-to uszczęśliwione dzieci zapraszają do siebie na wycieczki.

Zdaje mi się, że widzę uśmiechniony cień Dra Fritschego...

Dobry posiew, pielęgnowany staranną ręką jego następców, wydaje coraz lepsze plony.

Winienem tutaj słowo uznania napisać innemu filantropowi, który w roku bieżącym dał dowód dobrego serca i zacnych chęci także dla dziatwy i to najbiedniejszej, bo pozbawionej opieki rodziców, uśmiechu matki a nawet i... nazwiska ojca.

Mówię o wychowawcach zakładu przy Dzieciątku Jezus, którymi poczciwie zaopiekował się cukiernik warszawski, p. J. Zawistowski. Zaczęło się to jako przypadkowo od rozdawania ciastek i łakoci malcom, wprowadzanym na przechadzkę ku Koszykom, aż doszło do tego, że w ten czarunek staraniem p. Z. urządzono dla tych biedaczków nadzwyczajną radość i niespodziankę, bo aż całą wycieczkę statkiem parowym na Bielany.

Przeszło 160 malców, którzy nigdy w omnibusie nie siedzieli, statku parowego na oczy nie widzieli, Bielany nie oglądali, z łaski pp. Zawistowskiego, Jamiołkowskiego i Fajansa użyją naraz tych nieznanych rozkoszy i choć jeden dzień spędzą w swem sierocem życiu od rana do zmroku z nieustannym uśmiechem na buziach, powalanych mlekiem i czekoladą.

Choćby mnie posadzono, żem sam dostał ciastko z kremem od p. Zawistowskiego, zapisuję ten fakt, jako rzecz godną uznania i reklamy dla poczciwego cukiernika, który biednym dzieciom osładza chwile; a zapisuję dlatego, aby ta dobra inicjatywa nie zmarniała w przyszłości i dobry czyn znalazł chętnych naśladowców.

Na wiosnę tego roku upominał się głos jakiegoś przyjaciela dzieci o zwrócenie uwagi na wychowanków Dzieciątka Jezus, którzy mają również prawo do względów i filantropii publicznej, którym przydałoby się także trochę świeżego powietrza wiejskiego.

Było to zaadresowane do przyjaciół kolonii letnich, ich organizatorów i ofiarodawców,

Jakoś w tym roku nie udało się wykonać podsuwanego projektu i wysłać dziatwy z Dzieciątka Jezus także na wiejskie kolonie.

P. Zawistowski z własnej dobrej woli zrobił przynajmniej tyle, że ją kilka razy uraczył na przechadzkach i wywiózł na Bielany.

Może ten początek sprowadzi w roku przyszłym pożądaną rezultat i pobudzi nasze kółko ludzi miłośnych do wykonania całego projektu.

Dobre uczynki rosną niekiedy, jak ziarno gorczyca, które czyjaś ręka przypadkowo zapruszy na głębę serc bliźnich.

Rozpisałem się o tej sprawie, a o innych — chyba następnym razem; tylko, że tych innych znowu tak wiele nie dostarcza chwila bieżąca, w której jeszcze wypoczywamy, jeszcze używamy wakacji, jeszcze siedzimy na willegiaturach, w kąpielach, na wycieczkach i nie śpieszymy się z powrotem do Warszawy, tembardziej teraz — gdy się zachciewa choroby ją odwiedzić.

A kysz!.. szczęśliwój licha!.. pójdź na bory, na lasy!..

Quis.

Smutna wróżba towarzyszyła ich poznaniu się. Było to na lekeji tańca u pani Wileńskiej. Na lekeji tej rej wodził pan Tomasz Kalinowski, a z wieku i urzędu rejwodzenie mu się należało.

Z wieku, bo miał już lat dziewiętnaście, wolno mu więc było lekceważyć takie dziecinne harce i zapasy, choć ich nie lekcewał; a z urzędu, bo był najładniejszym chłopcem, jakiego dane jest oczom ludzkim oglądać. Naturalnie, że podlotki głowę traciły dla pięknego Tomcia. Gdybyż tylko podlotki! Od czegoż one mają głowy, jeżeli nie od tracenia? tracą i odnajdują i znowu tracą i znowu znajdują — więc o to niema kłopotu. Ale między młodzieżą opowiadano sobie, że młody pan Tomasz tem swoim powłóczystym spojrzeniem, temi oczyma, z których razem i miód i promienie tryskały, poczynił niebyszące spustoszenia tam nawet gdzie się ich czynić nie godzi — tam nawet gdzie jedno serce męskie wzięło w monopol jedno serce damskie, pod egidą przysięgi kościelnej, dwóch świadków, złotej obrączki i specjalnego prawa do niewinnych scenek małżeńskich.

Tam nawet, w te zakazane okolice zajęchały oczy Tomcia, a zajęchały całkiem mimowolnie, bo cóż on temu był winien, że miał takie oczy, którym bezkarnie nie wolno było patrzeć? Przecież nie mógł na tych swoich czarnych źrenicach nosić przepaski, przez wzgląd na posiadaczy monopolu — mężowie oczu takich nie znoszą u bliźnich swoich, radziby wydać wyrok na właścicieli ócz tych, nakazujący im bez niebieskich okularów nie chadzać po świecie.

Gdy świat dojdzie do ostatecznych wyników umoralnienia, kodex karny wydanym zostanie dla tych, którzy, mając oczy niebezpieczne, zechcą bez okularów zabawić mężatki. Zanim to nastąpi, Tomcio korzystał z wolności pod tym względem i gdzie spojrział, tam serca drgały i drżały pod jego spojrzeniem, jako klawisz pod palcami mistrza.

Raz jeszcze: nie on temu był winien, ambicyi pod tym względem nie żywił; — był sobie ślicznym chłopcem, wesołym jak gil, zwinnym jak koń arabski, serdecznym jak polska piosenka, a z powodu lat młodzieńczych naiwnym trochę, o tyle, że gdy jakowa niewiasta szeptała mu na ucho serdeczne słówka, to je brał za dobrą monetę.

W pamięci serca swego zebrał już skarbiec cały monet takich. Choć miał lat dziewiętnaście dopiero, ale wspomnienia jego pod względem czułych słówek datowały nieledwie od kołyski, bo już nianki kochały się w tych jego czarnych słodko błyszczących źrenicach.

Byłby może długo ludził się iluzjami, że w skarbcu wspomnień jego znajdują się tylko perły uryańskie z szafirami zmieszane, gdyby nie owa pamiętna lekeja tańca, na której kilka młodych mężatek się znajdowało, towarzysząc siostrzyczkom lub kuzynkom. Tam-to przekonał się Tomcio, że trzy damy, w których kochał się od dwóch tygodni, to kolejno, to równocześnie, to gorączkowo, to z rozmarzeniem, — wszystkie trzy w owym czasie nawet, kiedy odpowiadały najczulszym spojrzeniem na jego spojrzanie, a uściśnieniem, dłoni jego, gdy on im rączki całował, że nawet wtedy grał tylko rolę kompasu w ich życiu i był nadprogramowym dodatkiem.

Jak się o tem przekonał długo byłoby opowiadać; faktem jest, że w tej chwili dopiero przejrzał i zamiast czekać cierpliwie, aby po kilku latach dostać główną rolę bohatera, powyrzucił w przystępie szlachetnego oburzenia wszystkie fałszywe monety ze skarbcia pamiętek i postanowił odtąd inną dążyć drogą.

Mianowicie przysiągł sobie nigdy już serca swego na manowce nie puszczać, nigdy już nie odda-

wać go w ofierze chytrym niewiastom, na których ciążył monopol, a które chcąc się z niego otrząsnąć, fałszem tylko żyły, kłamstwem i obłudą.

Pan Tomasz postanowił od tej pory poświęcać swe uczucia paniom, li tylko paniom. Właśnie na owej lekeji tańca poznał szesnastoletni okaz kwiatka wiosennego.

Wprawdzie po rozczarowaniach, jakich doznał wieczora tego, miał serce zdruzgotane na miarę i trucizną niewiary w duszę zaszczerpioną ale kwiatek wiosenny tak to jakoś poreparował, tak wygładził i osłodził kilku spojrzaniem rzuconemi z pod oka, niby to nieśmiało a tak zręcznie, — kilku wyrazami niby-to bez głębszego znaczenia a tak pieszcząciami ucho, że Tomcio ani spostrzegł gdy z mężatkowskiego przeszedł na lep paniński; ale nie próżnował, serce jego bezczynności nie zagnało.

Tym razem zanosilo się na coś co mu nie groziło rozczarowaniem, bo i kwiatek wiosenny przylgnał magnetycznie do miodowego spojrzenia Tomcia i byłoby z pewnością w tym pierwszym zachwycie miłosnej pieśni wiosennej ulecieli na wyżyny, o jakich zwykli śmiertelnicy pojęcia nie mają, gdyby w wirze rozkosznego walca nie byli się potknęli o lupinkę od gruszki i nie klapnęli marnie na ziemię; nie jako kwiaty wiosenne, ale jako dwa listki wiatrem listopadowym podcięte.

I to właśnie złą wróżbą zamigotało nad tym prądem elektrycznym, który ich ku sobie popychał.

Tomcio zerwał się pierwszy i zanim tuzin młodszej młodzieży pośpieszył ku rafunkowi kwiatka wiosennego, już tenże kwiatek na ramieniu Tomcia wsparty pofrunął dalej, jakgdyby nigdy nie.

Mógłby kto przypuścić, że takie nagłe a niespodziewane zajście ostudzi zapal w tych dwojgu i nadweręży to, co zaledwie korzonki puszczać zaczęło. Otóż przeciwnie.

Tomcio przeszedł znakomitą szkołę; formalne „gradus ad Parnassum“ Clementiego. Ostatnie trzy zeszyty (wydanie mężatek) przedziwną wprawę w nim wyrobili; i teraz mógł dawać koncerta, jak skończony wirtuoz, a marne rozciągnięcie się na posadzee, zamiast ugasić płomień, posłużyło mu tylko do rozdmuchania ognia.

— Panno Melanio — mówił, pochylając się nad maleńkiem uszkiem kwiatka wiosennego — czy pani przebaczy mi moją niezgrabność? Ja chciałem panią unieść w lazurowe przestrzenie, a tu mi dyabeł nogę podstawił.

Ostatnie wyrazy, jako pełne mękości, zrobiły wielkie wrażenie na pannie Melanii *ulgo* Myszcze; jako dobrze wychowana panią nigdy nie byłaby śmiała posłużyć się imieniem szatana, ale jej to nieraz imponowało, gdy jeden z jej wujaszków używał z niesłychaną odwagą słownika pełnego dyabłów, bomb i kartaczy, więc tenże słownik w ustach Tomcia nadawał mu cechę dojrzałego mężczyzny.

Panna Myszcza podniosła na niego swoje wymowne oczy, które tem silniej działały na imaginację, że zdążyły tylko zaświecić niby błyskawica i gasły natychmiast przyćmione powieką, o długiej gęstej frendzli rzęsy ciemnej (jak mówi poeta w białym wierszu).

Tomcio zelektryzowany ścisnął mocno rączkę panią w swej dłoni i szeptał dalej:

— Proszę powiedzieć, że mi pani przebaczysz, proszę, bo inaczej będę niepokieszony, ucieknę i nie pokażę się więcej ze wstydu.

Znowu ostatnie wyrazy obrachowane były na wywołanie najsilniejszego wrażenia. On miałby uciec i nie pokazać się więcej! Myszczi serce boleśnie się ścisnęło, i tym razem nie podniosła oczu, tylko rzekła śpiewnie:

— To przecież moja była wina; ja nadeptałam na lupinkę i ja się pośliznęłam.

— Ale ja powinienem był wesprzeć panią i uchronić ją od takiego przykrego wypadku, — to było moim obowiązkiem, bo, tańcząc z panią, jestem jej chwilowym opiekunem, mam ją na swojej odpowiedzialności.

— Pan temu nie winien, że nie umiem tańczyć i że jestem niezgrabna.

— O panno Melanio! pani dobrze wiesz, że ten



ostatni przymiotnik prędzej mógłby się do ruszki stosować, niż do pani!

— Ja komplementom nie wierzę — odparła poważnie Myszka i tym razem znowu oczy podniosła, w których mieścił się wielki znak zapytania, „wierzyć czy nie wierzyć?“

W odpowiedzi Tomcio poprzysiął sobie w duchu, że ta „kobieta“ uwierzyć musi, jak dalece sercem jego zawładnęła, a głośno odrzekł:

— Czas okaże czy ja jestem zdolny karmić panią czczeni komplementami, tylko, że pani już ufać nie zechcesz, ani się czuć bezpieczną po tem fatalnem zająciu dzisiejszem.

Teraz kwiatek poprzysiął sobie w duchu, że ten „człowiek“ uwierzyć musi w nieograniczoną ufność i sympatyę, jaką ona ma dla niego.

Głośno odparła: — „Najlepszy dowód złożę, że się nie boję i że ufam zręczności pana, jeżeli z nim jutro na łyżwach się puszcze; jeździsz pan?“

O dziwo! ten wiosenny kwiatek odzywał się i spoglądał zukosa jak gdyby i on także ukończył Gradus ad Parnassum; chociaż ten się tylko dziwić będzie kto przypuszcza, że ród niewieści w kunszcie zawracania głów męzkich szkoły potrzebuje; — ten zaś kto wie, że niewiasta rodzi się artystką w swoim niewieścim zawodzie, zrozumie dlaczego panna Myszka tak się zręcznie wystawiała. Czy Tomcio jeździł? naturalnie, że jeździł.

Jeździł na wszystkim, na czem się jeździć dało, — i to po-mistrzowsku. Jeździł na koniu, jak Alexander Wielki albo Ciniselli, na łyżwach, jak Nordenskiöld albo jakowy Lwiopiecznik, na imagnacyach niewieścich, jak Lewiatan na chmurze ognistej; na smoku i na lwie srogim byłby jeździł, gdyby Myszka zażądała tego jako dowodu miłości.

Tak tedy uczucie, to dzieciątko wczoraj dopiero zrodzone, przeszło przez próbę lodową nazajutrz po owej pamiętnej lekcji tańca i przeszło zwycięzko.

Silne ramię Tomcia kierowało ewolucjami zręcznej kibici Myszki, jak umiejętny żeglarz lekka łodzią.

Sunęli w tył i naprzód, wolno jak obłoczek leniwy, szybko jak strzała z łuku wypuszczona, — w ósemkach jak dwoje baletników, którzy trudności nie znają, zakreślali kółka podobne do kółek dymu, które w chwilach zamyślenia Tomcio ku sufitowi posyłał, — nareszcie z szaloną, ze wściekłą werwą, jaka Tomcia zwykle cechowała, on sam, puszczając na chwilę rączkę panny Myszki ze swej dłoni, pomknął, robiąc wielki zakrętas na początku, potem naprzód się posunął, potem w tył, potem znowu naprzód i znowu w tył, robiąc zamaszyste koło na zakończenie. W czasie tych ewolucji piętą zagłębiał ostrze łyżwy w lodową skorupę i gdy nareszcie stanął obok Myszki z oczami błyszczącymi niezwykłym ogniem, ona czytała wyraźnie zakreślona literą swego imienia; olbrzymie „M“ pobłyskujące na gładkiej powierzchni lodu.

Tego dnia nie było żadnego wypadku niefortunnego, ani Tomcio ani Myszka nie rozciągnęli się na tym ślizkim gruncie; ale kto wierzy w *omina*, może znowu za złą wróżbę poczyta owo „M“ na lodzie pisane, — mogło to przypominać te zamki kryształowe, które się rozplývają w mgłę srebrzystą na wiosnę.

Oni jednak o złych wróżbach nie myśleli wcale, zajęci chwilą obecną wyzyskiwali ją, promienni szczęściem.

Panna Myszka była sierotą, ale nigdy nie znała sieroctwa swego, bo babka najczulsza, najbardziej kochająca z rodu babcinego, psuła ją więcej, niżby tego była rzeczywista potrzeba.

Wola wnuczki była wolą babci.

Stałem mieszkaniem pań tych była uroczą wioska nad Bugiem.

Do tej pory Myszka z wielkich grodów знаła tylko Warszawę; zwiedzenie innych miast odkładała w myśli do owej pory, kiedy jako dorosła panna długą suknię przywdzieje; bo była bardzo rozsądną i rzadko kiedy szybki z okna albo gwiazdki z nieba żądała.

Jako porę na „dorosięcie“ obrała Myszka szesnasty roczek życia. Babci ani w głowie powstało opierać się temu; pamiętała ona jeszcze te czasy, kiedy panienci w szesnastym roku za męża

wychodziły, i twierdziła, że działo się wtedy dużo lepiej, bo panny nie wyczekiwały daremnie na męża i nie robiło im się pstro w głowie od tego wyczekiwania.

Sama babcia wyszła za męża, mając lat piętnaście; dnia jednego ojciec rzekł do niej „wacpanna zważ, co wolisz: iść na pensyę czy męża dostać?“

Nie było jeszcze dość naiwnej „wacpanny“ — która w takiej chwili nie padła ojeu do nóg i nie zawołała: „Męża, męża!“

Tak też uczyniła babcia, gdy panną była i ztąd to nie przejęła się wcale, różnemi przesadami wieku tego, w którym nierozważni rodzice, trzymając panny pannami jak najdłużej (gwoli zebrania posagu) pozwalają, by im się pstrocizna w głowie rozgospodarowywała.

Gdy zatem babcia uznała „dorosiłość“ panny Myszki jako rzecz słuszną — ona i Myszka a teraz trzeci Tomcio nie myślał podawać w wątpliwość praw bohaterki do długiej sukni, a w razie danym nawet do ślubnej obrączki.

Były mamy na świecie — no, i córki także, — które już szesnastą stronkę życia dawno odwróciły, i którem naturalnie dawno już było pstro w głowie Otóż były takie, które obwiniały babcie o lekkomyślność, a wnuczkę o rozmyślnie deptanie wszelkich praw doletności panińskiej, gdy ją wpośród siebie ujrzały niemniej otoczoną, i niemniej umiejącą się posługiwać oczami lub językiem. To było jasnym, że zazdrość ścigała ten kwiatek wiosenny i dyktowała paniom różne złośliwe komentarze; ani babcia, jednak ani Myszka, ani Tomcio nie brali tego do serca.

Ale prawda. Nie zostało jeszcze wyjaśnionem: jakim sposobem białogłowa o siwych i jej wnuczka o złotych loczkach znalazły się we Lwowie?

Otóż, gdy szesnasty rok wybił na dziejowym zegarze Myszki, postanowiła ona podróżować, — i naturalnie podróżowała. Zaczęto od wykwipowania się w Warszawie, bo panienska nie spuszczała się na „szyk galicyjski“, potem podążono *via* Lublin do Lwowa; *via* Lublin w celu zwiedzenia jednego grodu więcej; w czasie gdy pociąg rozmyślnym próznowaniem się zabawiał, babcia z wnuczką zauważyły, że podróż ta jest nieco mozolną i nawet nudną nazwać-by ją można. Było to pierwsze rozczerowanie; im się zdawało, że taki przeciąg czasu i te przeszkody, jakie się napotyka między Warszawą a Lwowem *via* Lublin wystarczyły-by powinny na małą wycieczkę do Ziemi Ognistej albo Kamerunu. Przecież stanęły w końcu w grodzie nad Pełtwią, gdzie już Pełtwa nie zastały, bo na starość zapomniała się jejmość perfumować i wody jej wydawały nader niemiłe zapachy, więc ją pogrzebano niebogę, jako psującą harmonią prastarego miasta.

Prastare miasto podobało się bardzo Myszce.... gdy wyszła poza jego obręb. Wysoki zamek w słodką zadumę ją wprawił, i tam wysniła sobie rycerza Tomcia, — bo kubek w kubek takisam panicz w marzeniach jej harcował na koniku, cały w zbroję zakuty, na wałach zamku.

Tylko przybliżyć miał spuszczoną, więc twarzy jego widzieć nie mogła, ale gdy przedstawiono jej pana Tomasza, ona w tej chwili poznała, że tamten z zamku takie musiał mieć lica, a nie inne.

Po trzech dniach, spędzonych nad pogrzebaną Pełtwią, Myszka przedstawioną została kilku rodzinom, które babcia jej znała za dawnych jeszcze czasów. Nie minął tydzień, a posypały się zaproszenia na tańcujące herbatki, na baliki, na lekcje tańca i tympodobne gymnastyczne ćwiczenia.

Ze swej strony Tomcio także czas jakiś tylko spędzał we Lwowie. Kalinówka, wieś na granicy węgierskiej położona, była miejscem, w którym ujrzał światło dzienne.

W Debreczynie zaprawiał się do życia umysłowego na podartej książce, a do życia uczuciowego na słodkich oczach i czułych słówkach dam miejscowych.

W Kalinówce pozostawił papę i mamę; już trzeci miesiąc zbliżał się ku końcowi, jak Tomcio opuścił progi domowe — trzeci miesiąc!

Już mama Tomcia wysłała niejedną prozę pod jego adresem, ze wzmianką jako to jej serce bije

na myśl uściskania jedynaka, — jako to drugi jednak tem więcej przypomina jej nieobecność pierwszego, — a tak jej tęskno za najmilszym swoim chłopcem, że skoro powróci, to mu pozwoli papierosy palić publicznie, nawet w jej pokoju, — co mu oszczędzi upakarzających tajemnic, w jakie zabrnął, gdy dotknięcie tytoniu nie było jeszcze sankcyonowanym przez papę.

Tomcio odpisywał regularnie na listy mamy, dobierał równie serdecznych wyrazów i chwalił się że kiedy wolno mu będzie palić w jej pokoju, to kupi sobie papierosów, które palić zwykły tylko haremowe damy sułtańskie, bo mu jeszcze pięć reńskich z owych stu zostało; — że ma nadzieję, iż za tydzień drogi odmarzną i on znowu na swym wiernym bicyklu będzie mógł pokłusować w objęciu matczyne, a owe pięć reńskich wystarczą mu na tytoń Odalisek.

W ogóle szeroko dosyć rozpisal się o tych pięciu papierkach, tak szeroko, że mama gdy list odebrała, wyczytała między liniami najwyraźniej napisane „mameczko, przyslijcie mi tam jakie 20, któreby moję piątkę zasilły.“ — Ale papa nie chciał nie widzieć między owymi liniami, przeciwnie, — najeżył węża na dowód niezadowolnienia, że jednak już „przelampartował“ sumę, jaką był na podróż tam iz powrotem zaopatrzony i alluzye mamy, co do zasiłków poczytał za przywidzenie niewieście.

Tak tedy chwilowo nie pozostawało mamie jak oczekiwać cierpliwie widoku stalowego ruma, — a któregoby zeskoczyło jej serdeczne chłopię, i pocieszała się w tęsknocie tym, którego mogła brać kolejno i według fantazyi, to za Tomcia, to za Romcia.

Wielkie musiało być podobieństwo między Tomciem a Romciem, skoro nawet matka niezawsze wiedziała, i dlatego obydwóch jedynakami zwała, który jest którym.

Co zaś do obcych w ogóle, to Tomcio i Romcio, Romcio i Tomcio stanowili jedną nierozzerwalną całość, której nikt nigdy nie mógł rozgmatwać.

Zdarzały się z tego powodu różne dziwaczne zajścia, czasem komiczne, czasem groziły nawet tragedją, ale do tragedji nigdy nie przyszło i przyjść nie mogło, bo Tomcio i Romcio należeli do gatunku bliźniąt, niebywałych: nietylko, że sobie nigdy niezego nie zazdrościli, ale nawet, o dziwo! cieszyli się, jeden tryumfami drugiego. Nie tylko, że ustępowali sobie z drogi, ale nawet w chwilach krytycznych dopomagali sobie wzajemnie. Gdy jeden z nich naciągał łuk, mierząc prosto w serce której z bogiń debreczyńskich, drugi pomagał mu celować, ale nigdy nie rościł sobie pretensyi do korzystania z wygranej.

Zdarzało się np., że Romcio kochał się w pani Róży i kochał się rzetelnie, a nie mógł z powodu niewykończenia studjum łacińskiego nad Owidyuszem poświęcić jej całego wieczoru; wtedy brał Tomcia pod ramię i szeptał mu coś eicho na ucho, potem się ulatniał.

Tomcio zaś siadał obok pani Róży i magnetyzował ją oczami tak podobnemi do oczu Romcia, że sam nieraz powątpiewał: czy to nie oczy braterskie gdy się w lustrze przejrzał.

Otóż pani Róża, bywało, rzeknie śpiewnym głosem. — Ja myślałam że pan Roman ze mną rozmawia, a to pan, panie Tomaszu.

Na to Tomcio z miną najspokojniejszą i pobłażliwym uśmiechem odpowiadał:

— To teraz mylisz się pani: Tomasz miał dużo zajęcia i opuścił zebranie, to ja jestem Romanem, jeszcze unie pani nie odróżniasz od mego brata?

Ostatnie wyrazy wymawiał z cieniem żalu i skargi w głosie, a pani Róża ręce składała jak do pacierza.

— Niechże mi pan daruje — prosiła — naturalnie, że to była pomyłka; o! już teraz zawsze panów rozróżnię; pan, panie Romanie masz dźwięk głosu, którego zapomnieć nie można, a potem i oczy! pan Tomasz nie umie tak, jak pan, spoglądać.

(Dalszy ciąg nastąpi).



# NOWINY PARYŻKIE.

Dnia 30 Lipca 1892 r.

Jeszcze panna Chauvin.—Egzamin —Hałaśliwe demonstracje studenckie.—Odroczona obrona.—Interview z dawnym znajomym.—Panna Chauvin w domu.—Jej rozmowa.—Ponowne i ostateczne posiedzenie egzaminatorów.—Zwyczajność i Doktorat.—Sprawa kryminalna.—Pani Raymond przed sądem Jury.—U niewinnienie.—Exploatacyje i Exploatacyje.—Zabawna sprawa modniarki.—Exploatacyje uczelnie.—P. Dybowski i jego wyprawy do Afryki; jego dzieła. Exploatacyje wyborcze.—Margrabia Morès i bracia.—Straszliwa katastrofa w Saint-Gervais.

Donosząc wam w ostatnim liście, iż d. 2-go lipca panna Chauvin będzie broniła publicznie swoje rozprawy na stopień doktora prawa, nie mogłem przewidzieć, że ta obrona stanie się powodem nagłego zaburzenia w spokojnych murach Szkoły Prawa przy Placu Panteonu.

Tymczasem—wzburyła się młodzież francuzka. Jak wam pisałem, panna Joanna Chauvin, córka dawniejszego notariusza z departamentu Seine et Oise miała bronić w Sobotę 2 Lipca w Szkole Prawa swojej rozprawy na stopień doktora obojga praw (*utriusque juris*). Miało to mieć miejsce o godzinie 2-jej z południa.

Młoda kandydatka obrała sobie za przedmiot: „Zawody przystępne dla kobiet i ewolucya historyczno-ekonomicznego położenia kobiety w społeczeństwie.“

O godzinie już pierwszej z południa niewielka sala szkoły prawa, gdzie miało się odbyć spotkanie, a raczej potyczka rozumów, była zapelniona przeważnie przez kobiety, pomiędzy którymi kilku zaledwie studentów i jeden Chińczyk.

O godzinie pół do drugiej wprowadzono do auli pannę Chauvin bocznymi drzwiami. Jest to osoba, mogąca mieć lat dwadzieścia pięć do ośmiu, pięknego wzrostu, brunetka, o bladej twarzy, ze wspaniałą czarną kosą i czarnymi oczyma, błyszczącymi i pełnymi inteligencji. Ani piękna, ani brzydka, ale mająca w sobie wiele prostoty i wdzięku—i ani krzty oschłego, sztywnego pedantyzmu.

W ciemno-błękitnej sukni, bez kapelusza i czepka, panna Chauvin zasiadła na małej bocznej katedrze, przeznaczony dla kandydatów, poczem wystąpiły naprzód spośród tłumu cztery czerwone togi, okrywające p. Beudant'a, d-ra kursu fakultetu i trzech jego assessorów pp. Gérardin'a, Esmieu'go i Larumède'a.

Już ci czterej członkowie jury z wielką trudnością dotarli do miejsc swoich w auli. Pleć piękna zapelniała szczytła zresztą salę, zaraz w chwili jej otwarcia. Wejście, wchodzi, kurtylarze zawałone zostały przez młodzież, tak uniwersytecką, jak i exotyczną, krzykliwą. Młode te nadzieje Francji z wielkim gwałtem domagały się otwarcia drzwi, usiłując dostać się do wnętrza sali, pełnej już po brzegi...

Główni podżegacze tego tumultu, po większej części zupełnie obcy szkole prawa, nie poprzestali na takiej natarczywości; i w chwili, kiedy przydujący p. Beudant, rozpoczynając roztrząsanie rozprawy, wymawiał pełne grzeczności słowa: „Moście panno! praca jej jest bardzo zajmująca. Możesz nam pani objaśnić wiele prawd, dotyczących się prawa kobiety; byłoby niegrzecznie z naszej strony, gdybyśmy chcieli zaprzeczeniem je przyjmować. Pozostawmy więc na gruncie czysto jurydycznym.“

Tu prawdziwy ryk zwierząt, to zwykle *charivari* studenckie, z akkompaniamentem okropnego tłuczenia nogami, świstem i piskiem przerwał dalszą czynność doktryzacyi.

Napróżno woźni starali się zmusić ten tłum do milczenia. Ohydny wrzask: *consuez!*—przytłumia ich nawoływania, tłum wywalił prawie drzwi do sali. Zgiełk jest taki, że p. Buedant zmuszony jest posiedzenie zawiesić.

Dobrze świadomi rzeczy zapewniali po tem gorzącym zajęciu, że doktryzacya p. Chauvin odbędzie się w następnym tygodniu, ale, że dla uniknięcia wszelkich scen gorących, dzień i godzina po-

siedzenia i rozprawy będą trzymane w sekrecie tym razem.

Kandydatka była widocznie bardzo zasmucona tem odroczeniem. Poważni ludzie nie tracili nadziei, że panna nie straci na zwłocę, i że wkrótce tytuł doktora praw dołączy do dyplomu licencyjatki filozofii, który tak świetnie zdobyła na fakultecie paryżkim.

Po takim przykrym a niespodziewanym wypadku jeden z dawnych przyjaciół rodziny kandydatki poszedł ją odwiedzić nazajutrz, i tak opowiada to spotkanie:

„W skromnym mieszkaniu, na piątym piętrze w domu przy ulicy Claude Bernard, przyjęła mnie młoda kandydatka z prostotą i uprzejmością prawdziwie zniewalającą. Po pierwszych słowach przywitania: — „Wczorajsza manifestacya — mówiła — nie miała wcale na celu mojej osoby — moi kolledzy ze szkoły prawa byli zapewne oburzeni tem, iż nie mogli wejść do zbyt szczytłego amfiteatru. Chłubię się przeciwnie, z tej ich natarczywości i spodziewam się, że aby uczynić zadość ich żądaniom, pozwolą mi zdać mój egzamin w auli obszerniejszej, bo tym sposobem wszyscy zostaną zadowoleni.“

— Pozwól mi pani uczynić jej następne pytanie: utrzymujesz pani w swojej rozprawie, że żadna tradycya nie opiera się temu, aby kobieta była postawioną na stopie doskonałej równości z mężczyzną? wszak tak?...

— Tak, zaiste! i stan naszych obyczajów i postępu co do kondycyi kobiety, tego wymaga.

— W ten sposób zatem utrzymujesz pani, że kobiety są zdolne zajmować posady w magistraturze, w administracyi, w wojsku...

— A czemuż nie? Czyż nie przyznaliście jej już prawa poświęcić się, po długiej i trudnej nauce, medycynie? Czyż nie uznaliście, że są one zdolne pełnić obowiązki podrzędne w wielkich i ważnych zakładach rządowych, w tak zwanej administracyi, gdzie przytem są mniej płatne od mężczyzn—dlaczego? Jeśli kobieta jest przeznaczoną na równi z mężczyzną do utrwalenia i przedłużania rodzaju ludzkiego, czyż nie jest sprawiedliwą rzeczą, aby mogła na równi z mężczyzną, jeśli ma powołanie i talent, obrać sobie karierę w dziedzinie nauk wyzwolonych?

— A służba wojskowa?

— Mój Boże! Czyż niema w historii przykładów kobiet, które były dzielnymi officerami? A w czasie wojny czyż pielęgnowanie rannych nie jest posłannictwem, danem nam przez samą Opatrzność!

— Przypuszczasz pani zapewne, że każda licencyjatka może żądać, by była wpisana na listę adwokatów i obrońców?

— Naturalnie! w Ameryce jest dzisiaj więcej niż 400 adwokatów płci żeńskiej i mogą pana zapewnić, że nie są wcale ani mniej uzdolnione, ani mniej wzięte od adwokatów płci męskiej.

— Rozumie się zatem, że wstęp do Izby deputowanych i do senatu będzie im otwarty?

— Prawa polityczne powinny być równe dla wszystkich. A chociaż przedmiot mojej rozprawy dotyczy tylko ekonomicznego położenia kobiety w społeczeństwie, możesz pan jednak w ostatecznym rezultacie przypuścić zupełną całość praw politycznych.

— Lecz jeżeli nakoniec marzenia pani się spełnią, któż się zajmie kuchnią, opatrzeniem, wychowaniem dzieci, kto się zajmie mężem?

— A naprzód nie wszystkie kobiety są zameżne. Z moich nawet poszukiwań wypada, że małżeństwa w Europie są coraz rzadsze; następnie nie zmusza kobiety do tracenia czasu na wizyty, albo wycieczki do magazynów i sklepów. Moralność publiczna zresztą musi zyskać na tej swobodzie, zostawionej kobiecie do wybrania sobie nowego zawodu, nowego powołania. Maż, dzieci nie będą dla tego bardziej zaniedbane, niż dzisiaj.

— A więc pani będziesz żądała wpisania swego nazwiska na listę adwokatów?

— Nie przeczę temu stanowczo. Zresztą, mam już zajęte katedrę ekonomii politycznej w liceum panienskiem—jedną z niedawno utworzonych.

Na tem skończyła się rozmowa, a chociaż argumenta za nie zdają się nam posiadać niewzruszonej mocy przekonania—nie będziemy ich tu roz-

trząsali. W zawodzie, który sobie panna Chauvin obrała, jest ona pierwszą Francuzką, doktryzowaną w paryżkim fakultecie prawa, i ze względu na działalność kobiecą zwraca na siebie szczególną uwagę.

Dla tego też rozpisałem się dłużej o pannie Chauvin, a nawet muszę tu dodać jeszcze słów kilka, aby objaśnić jak się skończyła ta sprawa odroczenia.

Skończyła się—świetną wygraną! We Środę, szóstego Lipca, o godzinie szóstej po południu w wielkim amfiteatrze szkoły prawa przy ulicy Soufflot, panna Chauvin została solennie wyniesioną do godności doktora praw.

Opisaliśmy wyżej te śmieszne sceny studenckie, które spowodowały odroczenie obrony publicznej rozprawy panny Chauvin. Tym więc razem fakultet począł sobie rozważnie. Otwarto według przepisów prawa drzwi naścież dla wszystkich ciekawych; ale postanowiono nie rozgłaszać tego, i wszystko poszło jak z płatka bez popychania, ciasnoty i prawie bez hałasu—powiadam „prawie“, bo z początku pobawiono się trochę — inaczej nie byłoby to posiedzenie francuzkie!

Ze dwustu studentów i nie studentów, zawiadomionych o tem naprzód, zebrało się w kupę, i od godziny czwartej zajęły górne ławki amfiteatru prawego. Za każdym razem, jak tylko się pokazał ktoś z ciekawych, witano go, według głośnego zwyczaju, krzykiem i piskiem rozmaitych zwierząt.

Wszystko to nie było, ani dowcipne, ani zabawne, ale jest to taki zwyczaj—a więc! w chwili gdy weszli woźni przyjęto, ich okrzykiem: „Bravo Chauvin!“

O wpół do piątej w towarzystwie dwóch krewnych panna Chauvin wchodzi do hemieycklu amfiteatru i zabiera miejsce na końcu stołu, wokoło którego zasiadają jej sędziowie w swych togach czerwonych z gronostajami.

To wejście przyjęte jest hucznie oklaskami, i nagle następuje powszechne milczenie.

Panna Chauvin nie wydaje się wcale wzruszoną.

We włosach uczesanych skromnie, w bardzo skromnej ciemno-błękitnej sukni, z koronkową zarzutką, która cały jej gors okrywa—kandydatka jest to brunetka o wesolej, delikatnej twarzy — i wcale nie lekliwa — trzyma w ręku swoją rozprawę, której dają tu dokładny tytuł—bo tytuł ten jest to prawdziwe wyznanie wiary:

„Stydium historyczne professyi dostępnych dla kobiet. Wpływ semityzmu na ewolucyę ekonomicznego położenia kobiety w społeczeństwie, przez Joannę Chauvin, doktora prawa, licencyjata literackiego (filozofii), laureata paryżkiego fakultetu prawa.“

Nie rozumiem dobrze co tu robi wpływ semityzmu — ale mniejsza o to: wlaż tu on widocznie jak Piłat w Credo — niech więc zostanie.

— Zauważyłem proszę pani!—tak rozpoczął dowcipnie pan dziekan Beudant, zwracając mowę do prelegentki, — że tytuł okładki tej rozprawy zawiera cały programat... Zasada assymilacyi, której się pani domagasz, okazuje się tu otwarcie. Nie chcesz pani być wcale doktorką, licencyjatką i laureatką, ale pragniesz pozostać: doktorem, licencyjantem, laureatem—pani się zgadzasz na to, wszak tak? — Najzupełniej panie!

Panna Chauvin — a raczej panna doktor Janina Chauvin, ma ładny głos, pełen dźwięku, ruchy są nerwowe, a w ogólności ton prawie rozkazujący.

Widoczną jest rzeczą, że chce, aby jej zostawiono głos swobodniej i częściej — i od czasu do czasu jej niecierpliwość tłómaczy się pukaniem w okładki rozprawy rączką w obcisłej rękawiczce.

Ale—bo też ma do czynienia z okrutnymi gadulskimi — czy to przez grzeczność? czy przez obawę, aby nie wywołać jakiejś burzy — czy może przez chęć poprostu pokazania własnej wielkiej erudycyi i dowcipu w rzeczy dość łatwej zresztą—nie wiem? ale było ich tam czterech mężów nauki, mających więcej zapału, niż czterdziestu—a grzeczniejszych, niż czterystu!

Ale przecież, oto jeden z nich się zachmurzył.

— Pani, teorie jej mnie niepokoją. Chcesz pani, aby wszystkie professye i wszelkie urzędy



były dostępne dla kobiet? Niedowierzajmy sobie we względnie nadużycia takiej doktryny, której nie dobre wpływy dostrzegamy tu w dziedzinie edukacyjnej.

(Dokończenie nastąpi).

## Przez Islandyę wzdłuż i wszerz.

(Dokończenie).

Islandya leży na krańcowej granicy strefy umiarkowanej, a stroną północną sięga w strefę podbiegunową; dlatego to słońce widziałem tu jest tylko na najwyższym szczycie i na wyspie Grimsey, położonej na północ od Eyjafjord. Powstaje ono tam około 5-go Jana prawie przez ośm dni a w nocy błyszcząc na horyzoncie, oblewa ląd i morze swoim łagodnym różowym światłem; znikła w zamian zupełnie, na cały tydzień przed świętami Bożego Narodzenia. Noce w stronach południowych od Maja do Sierpnia, są prawie jak dzień widne; słońce skrywa się tam tylko mniej więcej na trzy godziny w czasie przesilenia dnia z nocą, wówczas tak jest blisko horyzontu, że właściwą noc stanowi tylko przejście zorzy wieczornej do porannej. Cudownie piękną jest wtedy mieniąca się gra kolorów, która ożywia góry, doliny i wody powlekając wszystko tęczowymi barwami. Niemniej powabną jest dla duszy wrażliwej północna zima. Księżyc i gwiazdy podwoją swą objętość, podwojonem błyszczą tam światłem. Cały krajobraz, białą powleczony szatą, oświetlony północnem światłem, mieni się wśród barw czerwonych, żółtych lub różowych. Podczas dni mroźnych ukazują się poboczne słońca tęczowego blasku, a w czasie śnieżnych zamieci posepna biała mgła powleka całą okolicę. Silny lazur nieba rzuca swój odcień na śnieg i udziela swej barwy wszystkiemu dokoła. Pomijając te barwne efekta, pociągające oko, dziwnie czarodziejskie wrażenie przejmuje podróżnego na widok wspaniałej nocy błędnych ogników, które ludzka przechodnia i na mylnie prowadzą go drogi; silnie tu działają na wyobraźnię naokoło wysoko strzelające w powietrze wulkaniczne słupy dymu. Gdy szaleją burze, piasek i kamienie wałęsają się z impetem z gór i razem z rześkim deszczem z hukem giną w przepaściach. Dziwnie rozbudza się podówczas życie w podziemiach pod lawą i w rozpadlinach skał. Tajemnicze i żalosne skargi rozbrzmiewają w powietrzu; nieopisana trwoga przejmuje człowieka i wszelkie stworzenie, jakby wobec duchów pustyni.

Najstraszniejszym ze wszystkich jest widok rozzerwania wnętrza wyspy, spowodowanego trzęsieniem ziemi. Grunt podnosi się i opada, niby rozszalałe fale morskie; z wulkanów wybuchają niebotyczne słupy ogniste; olbrzymie bryły lodowe, staczają się ciężko z wierzchołków i rozbrzyskują z loskotem w nizinach; płomieniste strumienie lawy, sycząc, pędzą przez doliny, rzeki zaś i jeziora nikać we wnętrzu ziemi lub wznoszą się, jakby do groźnej walki z nieprzyjawnym żywiołem. Nieznośna woń siarki, trujące gazy i para rozchodzą się w powietrzu. Ciemność ogarnia wyspę dokoła. Góry w płomieniach błyszczą złowrogo. Żółtawo-białe błyskawice rozdzierają co chwila brzemienne chmury, czarne od popiołu i żaru iskier. Trwoga opanowuje mieszkańców, przerażeni biegają w różne strony; wszędzie grozi im zniszczenie: tu deszcz popiołu — tam lawa; tu wybuchają gwałtownie, kipiące masy wodne — tam suną się gnane wiatrem lodowe góry, pustoszące wszystko. Rzeki pędzą z hukiem przez dolinę; trzeszczą zapadające się góry i lawiny; wicher dmie, jak szalony.

Oto jest Islandya i cuda jej natury! Pomimo to Islandczyk kocha swoją ojczyznę nad wszystko w świecie, i ma to przekonanie, że nigdzie piękniej być nie może niż na jego północnej wyspie.

Znakomity uczone islandzki i obecnie wielce

ceniony poeta, Steingrimur Thorsteinsson, w podróży, przedsięwziętej w celach poznania piękności natury innych krajów, tak opisuje doznane wrażenia po powrocie na wyspę: „Oh! jakże mnie uradował widok mojej ojczyzny, skoro statek parowy wpłynął wieczorem do zatoki Foxa! Niebo jasne zasiane gwiazdami — morze oświetlone blaskiem księżyca w pełni, i ciemno niebieskie majestatyczne wzgórze. Wszystko to wśród uroczyściej ciszy wywarło na mnie głębokie wrażenie. Nic równie wspaniałego w podróży nie widziałem!“

Lud islandzki osiedlony wysoko na północy, żyje samotnie i zdala od całego świata na przestrzeni 104785 kilometrów kwadratowych. Ludność wynosi zaledwie 70.000 mieszkańców. Islandczycy w ogóle stanowią naród silny, bo jakżeby inaczej mogli zwalczyć trudności życia, jakie wśród mozolnych wysiłków prowadzić są zmuszeni! Tylko nie dosięgną już dzisiaj bohaterkiej wielkości swoich przodków.

Kobiety islandzkie są zwykle cery śniado-czerwonej, zdarza się jednak czasem widzieć bladawe chude policzki. Prawdziwych piękności prawie się nie napotyka. Nos grubo jest niemal cechą typową, ale w zamian młode dziewczęta obdarzone są pysznymi jasno-złotawymi włosami, które w części układają w spłoty, w części spuszczają wolno na plecy, co przy niebieskich oczach nie małym jest powabem. Nadto odznaczają się wysmukłą kibiścią i bardzo małymi i zgrabnymi nożkami.

Domy mieszkalne budują w Islandyi, z wyjątkiem miast, po największej części z torfu (Gras-torf) przekładanego polnym kamieniem. Od frontu tylko szczytowe ściany wykładają deskami i zaopatrują w okna. Włóścianki dworek składa się z sześciu lub więcej podobnych zabudowań ziemnych, ustawionych jeden obok drugiego, z dachami pokrytymi trawą, co im nadaje pozór zielonych wzgórków. W miastach oraz w miejscowościach handlowych budują domy z kamienia i drzewa, kościoły po największej części z drzewa, jednak czasami z kamienia. Rodzaj ten budownictwa obywają się zupełnie bez znajomości sztuki architektonicznej. Oprócz tego budowlę z kamienia nie są praktyczne w północnych krajach: najlepszym tego dowodem, że słońce w ciągu krótkotrwałego lata nie zdoła wyprowadzić wilgoci, jaką grube, ociążałe mury przesiąkły podczas zimy.

Domy budują parterowe, — izba obok izby, a tylko gdziegdzie jeden pokój mieszkalny na piętrze. Przedewszystkiem rządzi się zasadą, że ile jest izb, tyle powinno być składów murami poprzedzielanych. Trzy albo cztery składy mieszczą się od frontu w równej linii; z tych jeden stanowi kuźnię, drugi komorę na sprzęty, narzędzia i graty, kuchnia i spiżarnia leżą zwykle od tyłu. Na południu izba mieszkalna znajduje się zwykle od frontu, na północy bywa przeciwnie. Pokój jadalny, kuchnia, spiżarnia i pokój gościnny połączone są z sobą kurrytarzem, reszta zaś izb przytyka tylko do wspólnego muru. Główne wejście prowadzi przez ciemny kurrytarz.

Mężczyźni ubierają się w Islandyi taksamo, jak i my, lecz nierównie cieplej; odzież mają z grubszych materyałów i obcisłą od naszej. Narodowy strój kobiet składa się zwykle z welnianej koszuli, ciemno-niebieskich lub ponsowych pończoch i z białej lnianej spódnicy. Na wierzach kładą obcisły kaftanik. Suknia z niebieskiej lub czarnej biał, jedwabna chustka na szyję, również koloru niebieskiego lub czarnego, czapeczka zakończona czerwonym albo zielonym kwastem, spuszczone na bok, dopełniają ubrania. Święteczny kaftan ozdabianym bywa, jak z przodu, tak z tyłu, srebrnymi galonami, srebrnymi spinkami i takiemisamami guzikami, artystycznie wykonanymi. Dolny brzeg sukni obszywają aksamitnymi szlakami; spódnice wszywają w srebrny lub aksamitny pasek, na którym haftowane są różne ozdoby oraz początkowe litery imienia właścicielki. Szyję otacza kołnierzyk haftowany srebrem lub suta kryza. Nakrycie głowy stanowi rodzaj turbana, „Faldur“, z białej lnianej tkaniny, wzniesionego w górę na 40 do 50 centymetrów i przepinanego niezliczoną liczbą szpilek. Przy głowie jest on formy okrągławe, dalej zaś spłaszczony, a wazki

kwadratowy koniec pochyla się ku przodowi w kształcie hełmu. Czarna lub kolorowa jedwabna chustka służy do umocowania tego oryginalnego na głowie stroju. Ubranie panny młodej bywa o wiele zbyt koczowniczym, zwłaszcza „Faldur“ na uroczystość ślubu powinien być przybrany siatką, suto złotem wyszywaną. Wytworne takie ubranie dochodzi nieraz do 400 talarów wartości, lecz zamian przechowuje się do 200 lat, przechodząc z pokolenia na pokolenie.

Na nieszczęście, kobiety islandzkie zarzucają coraz bardziej narodowy swój ubiór, rwąc się ku modnym nowoczesnym strojom. Czapeczki tylko kształtu stożkowatego wszędzie są jeszcze w użyciu, nawet w Reykjavik.

Od najdawniejszych czasów w Islandii ulubionym kolorem jest czarno-granatowy, tak ciemny, że z daleka ma pozór czarnego. Ostateczność ta na pierwszy rzut oka wywiera na podróżnym wrażenie ogólnej żałoby.

Głównym zajęciem Islandczyków jest hodowla bydła. Włóścianin, oprócz tego spekuluje na rybołówstwie, poluje na ptaki, których jajami się żywi, i ciągnie korzyści z piór; urządza nadto łowy na lisy, renifery a niekiedy nawet na białe niedźwiedzie. Podczas lata wypędza się bydło, a przedewszystkiem owce na pastwiska w góry, gdzie strzegą ich chłopcy lub dziewczęta. Zdarza się nieraz, że pomimo czujnej straży trzoda rozpierzchnie się na wszystkie strony i wówczas żyje nawiązkę wśród gór. Dopiero ku jesieni usiłują ją zgromadzić i napowrót w doliny zapędzić. Czynność ta należy do ulubionych rozrywek Islandczyków.

Urządza tę wyprawę pod kierunkiem prezesa municypalności, lub też „króla gór“, umyślnie w tym celu obranego. Zbiera się gromada młodzieży z całej okolicy, każdy w towarzystwie zmysłnego psa owczarskiego. Przedewszystkiem odbywa się rodzaj mustry a „król gór“, stosownie do potrzeby, rozdziela swych ludzi na mniejsze gromadki, z których każda otrzymuje oddzielnego dowódcę. Każdemu z oddziałów oznacza się punkt wyjścia, linię pochodzenia oraz miejsce na nocleg. Wówczas, rozpoczyna się pieszo lub konno rodzaj polowania, które się zasadza na okrążeniu trzody w górach i spędzeniu jej z kotłami w doliny przez zwarecie ogólnego koła. W miarę zgromadzania trzody zagania się ją w oznaczone miejsce, oddają pod straż tym, którzy w tej pogoni osobiście nie biorą udziału. Następnie po zakończeniu obławy trzodę rozdziela się pomiędzy właścicieli, kierując się znakami ponacinanymi na uszach każdej sztuki. Na placu ogólnego spotkania odbywa się po tem wszystkiemu wesole uczta, i czasem ciągnie się przez kilka dni, zwłaszcza, jeżeli wielka ilość zwierząt spędzonych utrudnia właściwy ich rozdział.

Szacownym skarbem Islandczyka są jego konie, które z powodu warunków klimatycznych pokryte są szorstką sierścią i nie dosięgają nigdy większego wzrostu. Zamian są one bardzo silne i nieustrudzone w pracy. Przywykły do paszy skromnej, wytrzymałe na głód, obywać się mogą bez żywności, lub zadawałnają się najniebezpiecznym pożywieniem. W stajni po roku nie bywają, prawie zawsze są na swobodzie, same odszukując dla siebie paszy. Każdy Islandczyk posiada co najmniej dwa konie. Najlepszy koń wierzchowy nie kosztuje więcej nad 70 talarów — pociągowy zaś lub roboczy znacznie mniej. Godnem uwagi jest to, że głowa konia islandzkiego wydaje się zbyt wielką stosunkowo do reszty korpusu. Wartość konia dla Islandczyka polega głównie na tem, że podróże odbywa się tu tylko konno lub statkiem. Powozów nie znają, nawet w stolicy Reykjavik, do ładowania zaś towarów używają tylko koni. Dlatego też liczne karawany ożywiają w lecie pustkowie wyspy, a prawie bez przerwy przeciągają wzdłuż wybrzeży.

O ulicach w naszym pojęciu Islandczycy nie mają wyobrażenia; mało jest również mostów, które ułatwiałyby przebywanie biezących, głębokich i rozszalałych potoków. Drogi w Islandyi są to po większej części bruzdy poodznaczone z biegiem lat kopytami koni roboczych, które, przechodząc z ciężarami, zaprzęgane bywają w długą linię w ten sposób, że głowa następnego konia zwykle



jest połączona zaprzęgiem z głową poprzedniego. Na noclegi w tych podróżach, trwających nieraz całe tygodnie, przystaje się zwykle gdzieś w pobliżu dworu włościańskiego zawsze w pobliżu łąki, gdzieby konie mogły znaleźć dość świeżej wody i trawy na posilek.

Drugi sposób podróżowania jest zapomocą statków. Pomiedzy blizkimi osadami na wybrzeżach można żaglować, o ile wiatr i pogoda pozwalają, łodziami żaglowymi lub wiosłarskimi. Oprócz tego jeździ się statkami pocztowymi, które dwanaście razy do roku przepływają przestrzeń pomiędzy Kopenhagą a Reykjavik, lub w końcu parowcami angielskimi, bardzo prawidłowo kursującymi w lecie. Duńskie statki pocztowe na 12 corocznych podróży dwa razy tylko nawiedzają Islandyę w ciągu pięciu miesięcy od Grudnia do Kwietnia. Okrążają one całą wyspę pięć razy w ciągu lata, angielskie zaś trzy razy i zatrzymują się tylko przy głównych portach, co stanowi poważną utrudnienie prawidłowej komunikacji. Dodawszy do tego zmiany powietrza, płynącą krę lub burze morskie, będziemy mieli wyobrażenie, jak niepewne są i niedające się z góry niezawodnie ułożyć wszelkie wycieczki morskie, nawet na wybrzeżach.

Każdy Islandczyk liczy tylko na siebie, i dlatego-to każdy jest swoim własnym rzemieślnikiem. Głównie celuje lud tamtejszy w obrabianiu żelaza; kują po-mistrzowsku swoje konie, wyrabiają siodła oraz inne wyroby ze skóry. Tylko w Reykjavik znajduje się kilku zdolnych rzemieślników: introligator i jubiler, którzy z zasady podziału pracy specjalne obrali sobie zawody.

Gospody i zajazdy są przywilejem tylko miast portowych. Nadzwyczajna krajowców gościnność nie pozwala rozwijać się takim zakładom: komu dziś ofiarowano dach gościnny, ten jutro winien gospodarza pokarmem i napojem posilić. Przedewszystkiem nigdy podróżny nie zakolacze na próżno na probostwo, ale wszystkie i wszelkie progi są zarówno dla niego przystępne.

A teraz — wykształcenie, oświata Islandczyków. Wiadomo, że w czasach, gdy cały świat pogrążony był w barbarzyństwie, nauki i sztuki piękne uprawiano z zamiłowaniem wielkiem w tej odległej krainie. Mówiono niegdyś o Islandczyku, zwiedzającym obce kraje, że netylko był odważnym człowiekiem, ale i poeta. Ta skłonność do poezji jest i dzisiaj jeszcze wrodzoną cechą każdego niemal krajowca, a staro-germański ten lud, osiedlony w odległej północnej krainie, odznacza się niezwykle bujną oświatą.

Chłopcy i dziewczęta jednakową otrzymują naukę w rodzicielskim domu, a rodzice po większej części zajmują się sami wykładami. Młodzieńcy chcą następnie wejść do szkół wyższych, lub też ci, którzy przez niezwykle okoliczności pozbawieni zostali nauki rodzicielskiej, udają się pod opiekę proboszczów, u których pozostają jako pensjonarze przez całe pół roku. Rodziny średniej zamożności wysyłają swych synów do szkoły uczonych w Reykjavik, założonej w r. 1846 przez Bessastadir'a. Wykład w tej szkole jest wyborny; zwłaszcza nauki humanitarne dobrze są prowadzone. Znaczna część uczniów studjuje teologią, uważając tę naukę za najpożyteczniejszą w przyszłej swojej w kraju działalności. Co do prostego ludu w Islandyi, śmiało można powiedzieć, że lepiej wykształconego niema w całej Europie.

Uczeni podróżni, którzy zwiedzali ten kraj i rozmawiali z ludem, twierdzą, że napotykali pomiędzy włościanami mówiących trzema językami: po-islandzku, po-duńsku i po-niemiecku, lub przynajmniej rozumiejących te trzy języki. Wielu było takich, którzy oprócz rodzowego języka doskonale znali duński i uczęszczali do gimnazjum w Reykjavik. Niemal wszyscy obznajomieni są z historią i literaturą, biorą szczerzy udział w politycznym życiu swego kraju, a pojęcia i poglądy ich są zdrowe i bynajmniej nie zacołane, a to dzięki popularnym książkom, obficie w Islandyi wydawanym, oraz dzięki miejscowym gazetom i dziennikom. Jeżeli niektórzy z podróżników zarzucają Islandczykom brak zewnętrznego okrzestania, a nie znając ich języka wnoszą z tego o ich zacołanych pojęciach, jest to wielką niesprawiedliwością — bo jeżeli są jakie braki, należy je

zaliczyć na karb oddalenia wyspy od reszty świata i nieludzkiego z nią obchodzenia się przez długie lata. Dopiero w ostatnich kilkudziesięciu latach nastąpiła zmiana w tym kierunku.

Jak poeta islandzki odnalazł słoneczne promienia poezji w śnieżnych zawiejach i burzach zimowego mroku, tak samo i każdy przyciętny Islandczyk umie zapełnić i uprzyjemnić sobie w rozmaity sposób spokojne swe życie na północnym ponurym krańcu świata. Dnie naszych większych świat obchodzą i oni po większej części również uroczyste — a zwłaszcza dzień Bożego Narodzenia, jakkolwiek nie mają i nie znają naszej jaśniejszej choinki. Islandya jest krainą zupełnie bezleśną i pozbawioną jodły. Oprócz brzozy, która tu wyrasta i pozostaje już na zawsze karłowatą, znajduje się tylko jarzębina, dochodząca do dość znacznej wysokości.

Taniec też nie jest Islandczykom obcy. Tańczą netylko w stolicy Reykjavik, liczącej 3.000 mieszkańców, oraz w miastach handlowych, ale także w wioskach, zwłaszcza podczas uroczystości rodzinnych lub wesel. W stolicy odbywają się niekiedy koncerty. Muzykę w ogóle, a w szczególności grę na fortepianie bardzo Islandczyk lubi i chętnie jej słucha. Niezwykle upodobanie mają Islandczycy w tabace; kupują zwijaną w liściach, rozcierają sami i noszą przy sobie w sprzątku, który kształtem i wielkością przypomina róg do prochu; w domu sypią ją sobie na rękę. W podróży, gdy jadą konno, pochylają głowę do otwora rogu i bezpośrednio już mają tabakę pod nosem. Tym sposobem tabaka się nie marnuje, co zwłaszcza przy konnej jeździe i silnych powiewach wiatru byłoby nieuniknionem.

Niezwykłym też, ale prawdziwie pięknym staro-germańskim zwyczajem, któryby niejednemu wydał się niemiłym, a dla wielu nad wyraz przyjemnym, jest sposób przywitania w Islandyi. Osoby spotykające się lub żegnające z sobą składają sobie wzajemnie serdeczny pocałunek na ustach, bez różnicy położenia, wieku i płci. Jest to jedyny sposób przywitania — znany w Islandyi. Jednakże w okolicach sąsiadujących bezpośrednio z faktoryami Islandczyk wita obcego, jeżeli go uważa za wyższego od siebie położeniem, w taki sposób, że kładzie prawą swą rękę na ustach lub lewą na piersiach, przyczem oddaje głęboki ukłon. Gdy się odwiedza jaką rodzinę w Islandyi, należy członków jej witać podług ich stanowisk i wieku, zaczynając od najwyższej postawionego i z kolei przechodzić do niższych położeniem nie wyłączając nawet służby. Przy pożegnaniu trzeba dopełnić takiego samego ceremoniału, ale w odwrotnym porządku: rozpocząć od służby, następnie pożegnać dzieci, a w końcu gospodynię i gospodarza domu.

## O NATURALNEJ METODZIE nauczania obcych języków.

Jest to metoda profesora Henesa, nauczyciela języka niemieckiego w New-Haven, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, uzupełniona przez jego naśladowcę, Niemca Berlitz'a. Henes, poznawszy już i wypróbował, jakie tylko były, podręczniki do nauki języki niemieckiego dla Anglików, przekonał się, że uczeń recytujący wybornie reguły gramatyczne, nie rozumie wcale zwróconej do siebie mowy i nie sam odpowiedzieć nie umie. To złe zwróciło na siebie jego uwagę.

W językach żyjących jedynie początki są ważnymi. Kto chce się nauczyć, mając dobre początki, nauczy się sam wszystkiego: to już praca osobista, nauczyciel jedynie drogę pokazywać może. Ale początki, któreby ćwiczyły ucho, tego pośrednika w nauce języków; któreby język wyłamywały do dobrej wymowy, — początki, któreby uczyły nie nudząc, nie męcząc i nie zniechęcając — takich właśnie początków braknie w nauce języ-

ków nowożytnych. Rozumienie i wystowienie, rozmowa jest celem tej nauki. P. Henes przystępuje więc wprost do rozmowy i to od pierwszej leky, opierając naukę na *poglądzie*. Jest to punkt pierwszy, kardynalny jego metody. Dpomaga mu podobieństwo wyrazów nowo uczyć się mającego języka z wyrazami znanymi we własnym języku oczywiście tylko w językach wspólnego pochodzenia jak angielski i francuzki lub angielski i niemiecki. Zasada przewodnia Henesa w rozwoju słownictwa żyweem wszczepianego w umysł uczniom jest zasadą matematyczną: z dwóch ilości znanych wyprowadzić trzecią, nieznaną.

Do poglądu służy całe otoczenie ucznia. Nazwy przedmiotów, ich własności stanowią pierwszy materiał leky. Rozmowa nie jest zapewne bardzo ożywioną. Nauczyciel więcej mówić musi, niż uczeń, ale potrosze wciaga i ucznia pytaniami swimi do rozmowy i wydobywa z niego odpowiedzi żądane. W całej tej nauce nie postępuje się Henes weale językiem uczniom. Mówi do nich jedynie obcym językiem, nazywa przedmiot, który wskazuje, czy-to w naturze czy też na obrazkach i na tych danych rozwija cały systemat nauki. Pierwsze leky to konkretne pojęcia; od tych przechodzi do oderwanych, a można i te doskonale objaśniać bez tłumaczenia.

Gdy nauczyciel chce nauczyć wyrazu *ucieka*, albo *bać się* postępuje w taki sposób:

„Co robi mysz, gdy kota zobaczy?”

I sam nauczyciel odpowiada:

„Mysz ucieka od kota.”

Tak długo zadaje to pytanie i pomaga w odpowiedzi uczniom, aż ci zrozumieją znaczenie nowego wyrazu.

Potem przeprowadza wyraz *bać się*.

„A dlaczego mysz ucieka?”

I znowu sam odpowiada:

„Bo się boi kota.”

Tym sposobem bardzo wiele pojęć oderwanych może wpoić uczniom, a wszystko w formie rozmowy, i wprowadza odrazu w mówienie o co zwykle tak trudno u uczących się języka obcego gdyż zwykle starsi mówić się wstydzają niepewni wymowy i nie obsłuchani z własnym głosem, odzywającym się w niezwykle języku. Tu nadto uczniowie w ciągu tej godziny nauki zmuszeni są myśleć w obcym języku, czego przy tłumaczeniu nigdy się nie osiąga.

Berlitz, naśladowca Henesa, postępuje prawie tak samo, nie dobierając na początek wyrazów różnobrzmiących lub podobnych, lecz biorąc przedmioty, a częściej jeszcze obrazy, przy których postępuje tak samo, jak jego poprzednik.

Obydwaj ci nauczyciele w swej metodzie posługują się jedynie językiem, którego uczą. Na drzwiach pokoju przeznaczonych do nauki języka niemieckiego dla Amerykanów, rzuca się w oczy napis:

„Proszę zostawić angielszczyznę za drzwiami.”

Uczniowie wchodzący na leky nie usłyszą ani słowa po-angielsku.

Reguły gramatycznych wcale tu nie wykładają na razie; przychodzą one dopiero po kilku miesiącach nauki, najmniej po sześciu.

Czytanie odbywa się na tablicy, na której wypisuje się wyrazy wyuczone, a uczniowie zapisują je do zeszytów. Taki systemat czytania i pisania jest na razie trudniejszym, ale przynosi wielkie korzyści z czasem, bo o wiele wcześniej uczniowie czytają *dobrze*. Metodę tę zastosowano dla dorosłych i dla dzieci, dla zakładów i prywatnego nauczania i zaczyna ona być wprowadzaną do szkół publicznych. Powiadają, że uczniowie mający trzy razy na tydzień jedną godzinę po dziesięciu lub dziesięciu miesiącach mogą się już rozmówić.

Berlitz, porzuciwszy Amerykę, przybył do Berlina i tu zaprowadził kursa nauki języka angielskiego i francuzkiego *metodą naturalną*, jak ją nazwano w Ameryce. Kursa te cieszyły się wielkiem powodzeniem, czem zachęcony rozszerzył je, zakładając takiesame szkoły w Londynie i Paryżu.

W miarę doskonalenia się metody i uznania jej praktyczności ukazały się i książki stosownie ułożone. Wiele miast Stanów Zjednoczonych ma zakłady nauki obcych języków metodą naturalną prowadzonych. Chodzi o to, aby czas nauki skró-



cić, uczynić naukę przyjemną i prowadzącą do celu.

Chodzi, nie o wynalezienie metody dla pojedynczego a pilnego umysłu, mającego cel w nauce i dążącego doń z zapałem i wszelkimi siłami, ale o trafienie do umysłów wszystkich, tak do zdolnych, jak i do mniej szczęśliwie obdarzonych.

Wiemy, że z bardzo małymi wyjątkami każdy wyucza się własnego języka bez względu na zdolności umysłowe; mamy wszelkiego rodzaju waryatów, kretynów, idiotów, mówiących dobrze swym językiem. Zawieźmy człowieka nie wykształconego do obcego kraju, otoczmy go krajowcami, a przekonamy się, że po pewnym czasie mówić będzie obcym językiem, najpierw błędnie, a później nawet poprawnie, choć nikt nie nauczy go zwrotów gramatycznych. A czy języki układały się na prawidła gramatycznych? czy był jakiś twórca języka? Nie; gramatyka jest tylko zbiorem spostrzeżeń nad językami już wyrobionymi, ale wyrobiły się one same, nie czekając na gramatykę. Tak samo powinniśmy i my postępować. Nie zacinajmy od suchych reguł, jak to zwykle czynimy; nie wyrzucamy wprawdzie gramatyki: jest ona nam pomocna, ale tylko wtedy, gdy potrafimy jej użyć właściwie. Postępujemy naturalnie. Nie mówmy dziecku, które za ledwie wie, że np. głowa nazywa się *la tête* po-francuzku, iż tworzymy liczbę mnogą przez dopisanie *s* do rzeczownika, a rodzajnik *la* zamieniamy na *les*. Powiedzmy poprostu, wskazując na siebie: *J'ai une tête*, pokażmy własną głowę — a potem wskazując na kilka osób powiemy: *Nous avons des têtes* i pokażemy te głowy. A gdy to napiszemy na tablicy i uwydatnimy końcówkę, łatwiej dziecko zrozumie, bo wrażenia oczu są głębsze, niż uszu; wierzymy chętniej w to, co widzimy, niż w to, co słyszymy. Zwracajmy uwagę ucznia na czasowniki nieforemne. Najpierwej uczyć ich powinniśmy, gdyż wyrażają one czynności najczęściej i najpowszejdniej spełniane, a zatem są najpotrzebniejsze. Ale jak ich uczyć, jeśli odrazu postawimy regułę, że czasownik ma mieć takie, a nie inne, formy w tym a tym czasie? czy nie byłoby lepiej przyzwyczajając dziecko do posługiwania się gotowymi już, danymi formami bez względu: czy są one prawidłowe, czy nie? Praktyka to grunt; reguła, jaka z niej wypływa, na niej opierać się musi.

Komu powierzyć początkową naukę języków? Branie cudzoziemki do domu naraża z jednej strony na koszt, zabiera też za wiele czasu i zniewała do pomijania innych przedmiotów koniecznych, a potem, i co główniejsza: czy wpływ cudzoziemki jako wychowawczyni jest zawsze dobrym? W pewnych godzinach stale wyznaczonych na naukę nie ma cudzoziemka czasu swego wpływu wywierając tak silnie na dziecko, jak przy ciągłym z niem przestawianiu, czasami przez lat kilka. A cóż to mamy za cudzoziemki? Jeżeli weźmiemy tylko ich wychowanie pod rozwagę, ileż tam znajdziemy braków, ile pojęć, bądź spaczonych, bądź zupełnie obcych umysłowi. Co lepsze, pozostaje zwykle w swoim kraju: za granicę wyjeżdżają przeważnie głęby, pełne pretensyi, lub frygi, szukające tylko — szczęścia w życiu. Przyjmowanie do domu taniach bon cudzoziemek jest ciężkim nieraz błędem.

Naukę języków wcielić trzeba do planu wychowawczego; dajmy jej czas tensam nawet, jaki obecnie dajemy, zmieńmy jedynie sposób postępowania. Odrzućmy te tłumaczenia, które tak często bezmyślnie są prowadzone, tę mechaniczną a partacko wykonywaną pracę; wyrzucmy precz ten istny kierat umysłowy, w którym obracają się bezmyślnie, bezwiednie pamięć i zdolność myślenia. Każdy chyba przyzna, że uczniowie dobrze tłumaczący, gdy przyjdzie wyrazić myśl nie zacerpnie-

ją z druku, nie potrafią użyć tychsamych wyrazów, które wprawnie na papier przelewają. Ieżto razy uczeń umiejący niby myśleć nad tłumaczeniem, nie potrafi myśleć, gdy go zapytamy o jaki wyraz lub konstrukcyę składniową, i często nie może się nawet zorientować, że wyraz słyszany i czytany jest jednym i tym samym wyrazem. Zaczniemy od rozmowy, a skutki będą odmienne.

Po zaznajomieniu dziecka z nazwami przedmiotów otaczających, wprawiajmy je zaraz w krótkie z obserwacyi wynikające zdania, a gdy wyzerpiemy już ten świeatek małej, który dziecko otacza dotykalnie, zwróćmy się do obrazków, potem do czytania, do łatwych, dla dzieci ułożonych powiastek, których nie braknie w żadnym języku, zaopatrmy te książeczki odpowiednim słowniczkiem tłumaczącym, nietylko pojedyncze słowa, lecz zwroty mowy obcej, aby pilny uczeń mógł sam sobie coś przeczytać. Tak postępując stopniowo, możemy dojść do rezultatów dodatnich w niezbyt długim czasie, a co najgłówniejsza, osiągniemy cel pożądanym, bo uczniowie nasi, nietylko rozumieć, ale i mówić będą.

Gdy już przechodzimy od otoczenia do książki, wtedy musimy pytaniami o treści wywoływać rozmowę; ale nietylko sama treść ma być przedmiotem rozmowy: powinniśmy jeszcze nasuwać dziecku i uwagi nad związkiem tej treści z nami, z naszymi poglądami, z naszymi wiadomościami, jednym słowem: pytania mają być tak urozmaicane, aby na mocy nabytych wyrazów tworzyć zdania odmiennej treści, niż je powiastka zawierała, ale wypływające z niej.

Nie jest to tak trudnem, jakby się zdawać mogło. Doskonale nadają się do takiego kursu francuzkiego książeczki wydane w Paryżu, opracowane przez pannę Clarisse Juranville. Trzy książeczki zatytułowane: *Le premier*, *Le deuxième livre des petites filles* i *Le troisième livre des jeunes filles*, obejmują cały świat zmysłowy i umysłowy. Przyswojenie sobie tych wyrazów, jakie tam znajdujemy, wystarczy do rzetelnej znajomości języka. Podana tam nauka jest w formie pojętej, nie sucha, ani pedantyczna, lecz przeciwnie zajmująca i bawiąca, a liczne drzeworyty, któremi są przyozdobione te książeczki, bawią dzieci i zachęcają do czytania.

Obecnie opracowany do nich słowniczek ułatwi naukę zapomocą tych książek, których dajemy tu króciutki rozbiór krytyczny. Otóż książki te sprowadziłam ja pierwsza pracując od wielu lat nad nauczaniem języka francuzkiego i nad ulepszoną nauczania metodą. Książeczki te zjednały sobie odrazu uznanie i przyjęcie u publiczności tak w zakładach jak w domach prywatnych. Są one opatrzone słowniczkiem częścią dodatkową do metody tejże autorki, której część pierwsza w tych dniach opuszcza prasę. Książeczki Juranville, bawiąc obrazkami, zaciekawiały dzieci, i pobudzały do poznania treści zawsze zacerpywane ze świata dziecięcego i, naturalnie, a łatwo ułożonych; dzieci też robiły przy nich znakomite postępy. Zamiast uczyć się suchych słówek, dziecię powtarzało za nauczycielką krótkie zdania zawarte w książeczce, obrazki tłumaczyły treść, a treść ta właśnie stanowi całą atrakcyę umysłów dziecięcych; powiastki to są jedynie, ale powiastki wzięte ze świata dziecięcego. Drobnie wypadki życia, ubrane w odpowiednią formę, zawierające naukę moralną bez kazań i morałów, ale wpływającą z treści, — oto zawartość książeczki. Ale nie tylko ta jest jej dobra strona, choć i ona wystarczyłaby już do zalecenia książeczek. Co ważniejsza dla uczącego się obcego języka: są tam powiastki o tak rozmaitej treści, że pouczają czytelnika

o różnych stronach naszego życia. Mieszkanie, ubranie, stół, szkoła, ogród, — ze wszystkim się tam spotykamy. Wprawdzie nie wyczerpuje pierwsza książeczka całego zasobu słów, odnoszących się do pewnego działu, ale, poruszając tak różne działy, daje sposobność nauczycielowi do spełnienia tego czego braknie, a co już łatwiej przychodzi, gdy mamy już jakąś podstawę.

W pierwszej książeczce powiastki wpajają głównie prawdy moralne; posłuszeństwo dla starszych, porządek, czystość, szanowanie swych rzeczy i zabawek, praca, miłoserdzie, obowiązki wzajemne, społeczne cnoty, — są to główne przedmioty powiastek, które dają wiadomości o pochodzeniu chleba, o użyteczności ptaków, dniach tygodnia, miesiącach, porach roku, a wszystko to w formie łatwej i bawiącej. Druga książeczka zawiera już prawdziwą naukę poglądu przeplatana powiastkami, o etycznej dążności. Mamy tam ustępy o uprawie ziemi, o pożywieniu, o napojach, o oświeceniu, o opale, o futrach, o druku, o drogich kamieniach; wskazówki higieniczne, wynalazki, odkrycia, rzecz o zwierzętach, roślinach, minerałach, porcelanie i o podróżach, i t. p., a całość w formie łatwej, bawiącej i uczącej zarazem. Trzecia książeczka jest opisem całej Francyi.

Myliłby się, ktoby sądził, że znajdzie tam geografiją suchą. Jest to zwiedzanie ożywione różnych ciekawych miejscowości, pamiętek historycznych obznajamiających nas z położeniem miejsca i z faktami historycznymi, nadto przy opisie fabryk mamy różne wiadomości z fizyki i chemii, co wszystko czyni to wydawnictwo niezmiernie pożytecznem. Książki, same z siebie dobre, mają dla nas wartość pedagogiczną, co nie zawsze spotykamy w francuzkich wydawnictwach. Mamy tam prawdziwą metodę indukcyjną. Postępujemy pomału od rzeczy znanej do nieznaney, od łatwej do trudnej; zabawa prowadzi nas do nauki, powoli nakłaniamy młody umysł do zastanawiania się, a wiadomości, podane w formie lekkiej z przyprawą odpowiednią młodemu wiekowi, są zachętą do dalszej nauki.

Książeczki p. Clarisse Juranville, są to książki natchnione młodością dziecięcą, doskonałą jego znajomością, zastosowaniem do jego potrzeb, i są jakby nauką macierzystą prowadzącą dziecię za rączkę, zwalnającą kroku, gdy spostrzeże znużenie przeplatającą naukę zabawą, a na każdym kroku pamiętającą, że dziecię to człowiek, to przysły członek społeczeństwa, to siła, której marnować nikomu nie wolno.

Maryja Bielska.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się: Arkusz I tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego.

**TREŚĆ:** Pogawędka, przez Quisa. — Tomcio i Romcio humoreska przez Esteję. — Nowiny paryzkie. — Przez Islandyę wzdłuż i wszerz (dokończenie). — O naturalnej metodzie nauczania obcych języków, przez Maryję Bielską.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 1-szy tomu II-go powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 40 wzorów i robót z opisem. — Sekretu gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 5 Августа 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.



**Suknia zupełnie gładka z bengaliny koloru popielatego.**

Rycina Nr 1.

Mantylka czarna koronkowa, wykonana z części koronki 62 c. dług. a 250 cent. szer., karczek z materiału czarnego jedwabnego, kołnierz „Médicis“ z riaszą z koronki 7 c. szer., wystającej ponad kołnierz na 2 cent. i widzialnej w tylnej części wśród nacięcia kołnierza. W tylnej części fałda „Vatteau“ z materiału jedwabnego, oraz kokarda z długimi końcami ze wstążki czarnej repsowej.

**Suknia z fularu koloru różowego.**

Rycina Nr 2.

Suknia z fularu koloru różowego w deseń koloru czarnego, złożona z spódnicy i z wetmanu zapinanego na bok, przybranego podług ryc. czarną koronką. Kokardy z wstążki czarnej atlasowej 3 c. szer. mieszanej z różową wstążką. Dolna część wetmanu przybrana riaszą 6 cent. szer. ułożona w kontrafałdy i pomieszana z czarną koronką. Rękawy z dwóch buł złożone, pokryte koronką a dalsza część z fularu.

**Majtki zapinane z boku.**

Rycina Nr 25. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIX, fig. 65 i 66)

Po dopełnieniu złożenia fig. 65 skrajając z perkalu fig. 65 dwie części złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem konturu przedniej połowy. Fig. 66 dwie części z materiału podwójnie złożonego. Zmarszczyć w dolnym brzegu, wszyć w pasek 4 cent. szer. a 44 cent. długi i obszyć falbanką 7 cent. szer. Poczeszywać majtki podług cyfr i znaków, wykonać nacięcia, wykończyć takowe listewkami, górny brzeg zmarszczyć. Pasek zeszyć od 70 — 72 z górnym brzegiem przedniej części majtek i zaopatrzyć w guziki. Tylną część wszyć w pasek 44 centim. dług. a 5 centim. szerok., który przestebnować i przewleć tasiemką, oraz zaopatrzyć w dziurki.

**Koszula z karczkiem haftowanym.**

Rycina Nr 27. (Krój odwr. str. tabl. Nr XVIII, fig. 61 i 62).

Skrajając z materiału bawełnianego fig. 61 dwie części złożone wzdłuż środka, z uwzględnieniem konturu górnego brzegu przedniej części stanu, oprócz tego należy w kierunku strzałki stan przydłużyć, wykonać pomiędzy liniami drobne zakładki na 10 cent. szer., górny brzeg zmarszczyć od \* do \*. Następnie skrajając z materiału haftowanego fig. 62 dwie części, zeszyć takowe od 58 do 59 i przyszyć do przedniej części stanu od 57 do 58. Po zeszytciu koszuli zmarszczyć tylny górny brzeg od † do † na 25 cent. szer., zaokrąglić wzdłuż wycięcia i paszki otoczyć koronką 2 cent.

szer. i przyszyć wążką wystebnowaną plisną. Na ramionach wykonać dziurki i przyszyć guziki podług ryc.

**Kaftanik nocny.**

Rycina Nr 28. (Krój odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 49a—54).

Kaftanik wykonany z perkalu i ozdobiony haftem wykonanym kolorową bawełną. Po dopełnieniu złożenia fig. 49a i przydłużeniu w kierunku strzałki fig. 50, skrajając fig. 49—53, ale w przednim brzegu należy przypuścić na obrąbek 8 cent. materiału. Fig. łączyć podług cyfr i znaków, haft wykonać podług wzoru i wykończyć kaftanik stosownie do ryciny.

**Koszula nocna**

Rycina Nr 13. (Krój odwr. str. tabl. Nr XX, fig. 67a—72).

Skrajając z madapolamu fig. 67, 68 i 69 po jednej części złożonej wzdłuż środka, ale stan należy przydłużyć w kierunku strzałki. Po wykonaniu nacięcia w przedniej części wykonać pomiędzy liniami zakładki na 3 cent. szer. i fałdki, trafiając † na kropkę. Brzeg nacięcia pokryć listwą z wierzchu i z pod spodu. Zaokrąglić wycięcie szyi podług fig. 67b, przyszyć guzik i wykonać dziurkę. Po zeszytciu stanu tylny górny brzeg zmarszczyć od \* do \* i połączyć z karczkiem, który połączyć z przednimi częściami od 78 do 79. Wszyć pasek, kołnierz, który ozdobić haftowanymi figurami

podług ryciny i wykończyć koszulę. Rękawy zmarszczyć w górnym brzegu od \* do \*, jako też i w dolnym, połączyć z mankietami 24 cent. obwodu a 11 cent. dług., wszyć rękawy w koszulę, trafiając na 87 w 87.

**Serwetki do lodów ozdobione haftem.**

Rycina Nr 2—4 i 9 w Bl. Nr 34. (Deseń pierw. str. tabl. Nr XI, fig. 33, oraz odwr. str. tabl. Nr XXI, fig. 89).

Serwetka ryc. Nr 2 otoczona koronką klockową i obrąbkiem z mereszka 2 1/2 cent. szer., ma wielkości w kwadrat 3 1/2 centim., z lnianej tkaniny i ozdobiona haftem wykonanym ścięciem krzyżowym bawełną jasną i ciemną niebieską podług ryc. Nr 9.

Serwetka Nr 3, 16 1/2 cent. wielkości, otoczona obrąbkiem z mereszka 2 1/2 centim. szer. z cienkiej lnianej tkaniny. Haft wykonany ścięciem dzierganym, płaskim, gałązkowym i przezroczystym, podług fig. 33. Po wykonaniu trzech przezroczystych fig. należy po otoczeniu takowych tło wyciąć i poprzeciągać podług ryc. krętą bawełną. Fig. ścięciem dzierganym otoczyć filozelą koloru niebieskiego a małe kółeczka w środku tymże ścięciem. Każde 3 listki ścięciem płaskim białym jedwabiem. Astry oraz muszki, białym jedwabiem ścięciem płaskim, pierwsze otoczyć tymże jedwabiem ścięciem gałązkowym a listki i gałązki jedwabiem niebieskim tymże ścięciem.

Serwetka Nr 9 w kształcie muszli. Figura ta użyta być może jako narożnik do większej serwetki, lub też na serwetki podłużne, powtarzając muszlę jedną za drugą. Należy deseń przenieść na odpowiedniej wielkości część tkaniny lnianej podług fig. 73. Wykonać najprzód wskazane przecięcia bawełną białą i wzdłuż konturów wykonać ściąg dziergany jedwabiem niebieskim, wolne tło ozdobić ścięciem supelkowym jedwabiem białym i podług ryc. wyciąć tło pomiędzy przecięciami, jako też tło brzeżne.

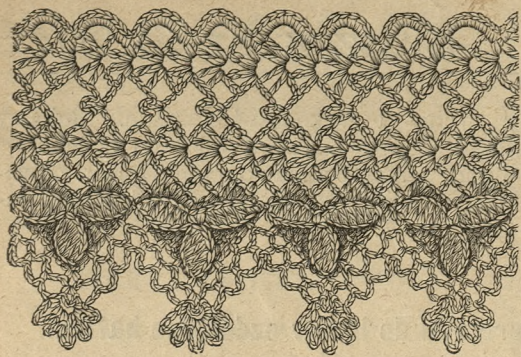
**Frendzla do ozdoby serwet i t. p. (robotą wiązana).**

Rycina Nr 5 w Bl. Nr 34.

Frendzla wykonana rozmaitego koloru bawełną „rokoko“. Przygotować odpowiednią liczbę podwójnych nitok bawełny 60 cen. dług. koloru oliwkowego, oraz nitok koloru brązowego i poziomkowego 90 centim. dług. Założenie wykonać wiadomym sposobem podwójną nitką bawełny koloru oliwkowego i w następnym rzędzie przyczepiać w sposób, ażeby żyłka pozioma pentelki znajdowała się po odwrotnej stronie. \* 1 brązowy, 1 oliwkowy, 1 brązowy, 1 poziomkowy, 1 oliwkowy, 1 poziomkowy, od \* powtórzyć. Na pierwszą kolej należy przewleć podwójną nitkę założenia przez zebrane supelki i wykonywać ciągle następ. podwójnym końcem dwie pentelki dziergane. — 2 kolej: (podwójne końce w każdym rzędzie będą



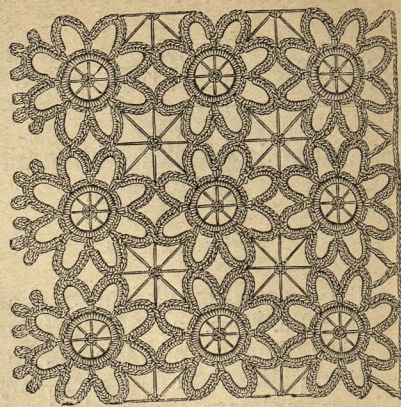




Nr 4. Koronka (robota szydełkowa).  
(Opis w Bl. Nr 32).



Nr 3. Monogram.  
Nr 6. Karczerek do koszuli  
(szydełkowa robota i ściąg koronkowy)  
do ryc. Nr 5. (Opis w Bl. Nr 32).



Nr 5. Część karczka do ryc. Nr 6.

oznaczone jak wypada ze zmiany) ciągle następnymi 6-ma podwójn. końcami 1 podwójny supełek, obydwą środkowe jako podkład.—3 kolej: Następni 3 końcami 1 podwójny supełek, potem ciągle 3-ma ostatniemi końcami następn. podwój. supeł. i pierwszymi trzema końcami następn. podwój. supeł. poprzedniej kolei 1 podwój. supeł.—4 kolej: \* Następnie 6-ma końcami w stosownym odstepie, jak to wskazuje ryc. 4 luźne podwój. supeł. w prostym kierunku jeden pod drugim, poczem połączyć końce powyżej ostatniego podwójn. supełka, okręcić takowy końcem koloru oliwkowego 2 razy na kwast, przeciągnąć następnie końce od góry ku dołowi za pomocą skręcenia i obejść nitki równo na 9 cent. długości, poczem powtarzać ciągle od \*.

„Matinée“ z batystu ozdobione koronką.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 34.

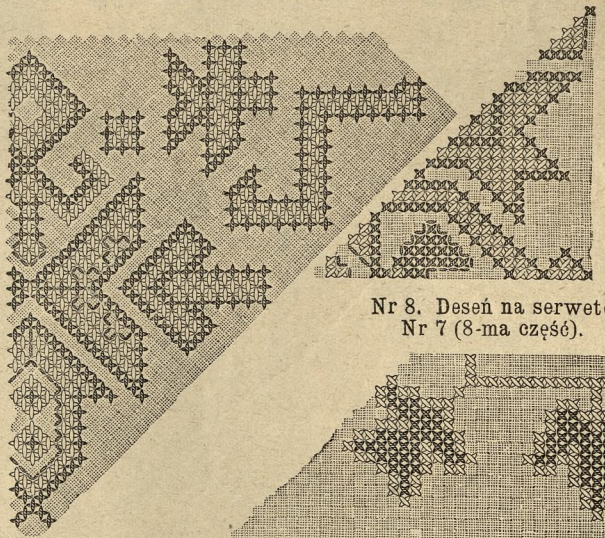
„Matinée“ wykonane z batystu białego w deseń niebieski bez podszewki i zapina-



Nr 13. Kapelusze z fantazyjnej pleśni.  
Nr 14. Suknia z fularu „glacé“ ubrana koronką.



Nr 7. Serweta z materiału „Kamilla.“ Ściągiem płaskim, Holbejna i krzyż. robotą (do ryc. Nr 8—10 i 15. (Op. w Bl. Nr 32).



Nr 8. Deseń na serwetę Nr 7 (8-ma część).

Nr 9. Deseń do narożnika serwety Nr 7.

Nr 10. Deseń do serwety Nr 7.

ne z przodu na guziczki, karczerek i dolna falbana układana w fałdy, ozdobiona podług ryc. koronką. Wstążki koloru niebieskiego 2 1/2 cen. szer. wykończają całość.

Suknia formą „princesse.“

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 34.

Suknia z fularu niebieskiego w deseń ciemniejszy tegoż koloru, cała na podszewce i zapinana z tyłu. Dolna część przybrana falbanką. Karczerek koronkowy na spodzie z materiału jed-

wabnego koloru „crème.“ Rękawy krótkie bufiaste, obszyte szeroką koronką.

Suknia z krepy cieniowanej i materiału jedwabnego ozdobiona haftem.

Rycina Nr 8 w Bl. Nr 34.

Suknia z krepy cieniowanej koloru „écru.“ Rodzaj gorsecika z materiału jedwabnego tegoż koloru haftowanego jedwabiem ciemniejszym. Spódnica zaopatrzona podszewką jedwabną i także falbanki. Rękawy zwężone ku dolnej części, ozdobione materiałem haftowanym odpowiednio do gorsecika.

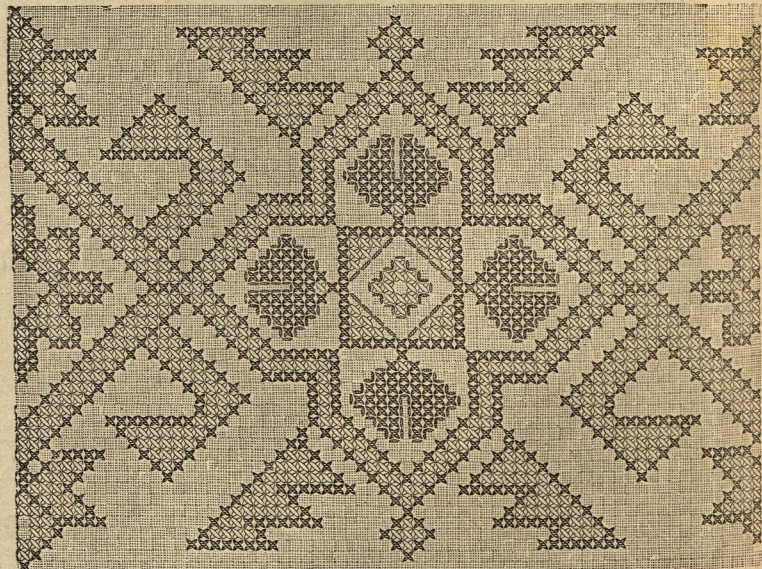
Czepeczek ranny z koronki i wstążki.

Rycina Nr 10 w Bl. Nr 34.

Foremka z petynетки obszyta drucikiem i wstążeczką dług. 22 centim., szerokości w środku na przodzie 7 cent., po bokach zwężona, w tylnej części połączona paskiem 20 c. dług. a 1 1/2 cent. szer. Zmarszczyć koniec koronkowy 16 c. szer. a 140 c. dług. na 24 c. długości i rozpoczynając od tylnego środka ułożyć na foremce po-

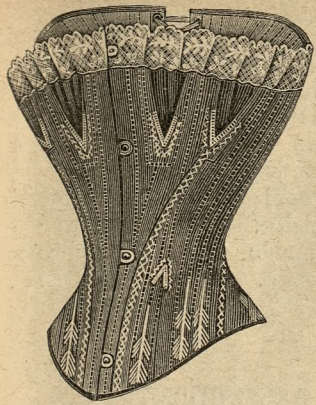


Nr 11 i 12. Sukienki dla panienek od 2—5 lat (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V i VI, fig. 20 — 24).

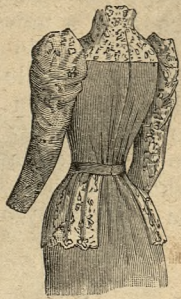


Nr 15. Deseń do serwety Nr 7. kolory: ciemno-ponsowy i kremowy.

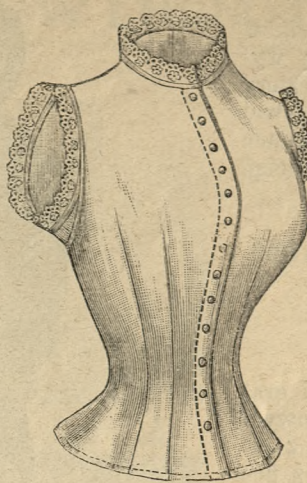
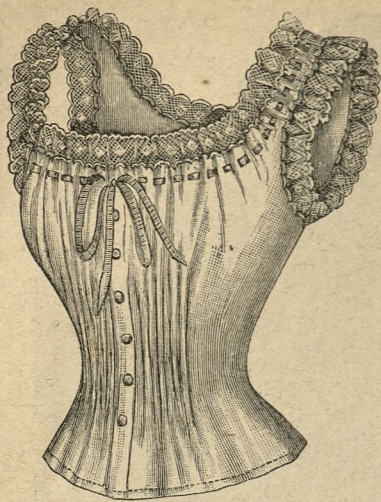




Nr 16. Gorset (forma wiedeńska).  
Krój odwr. str. tabl. Nr XVI, fig.  
55-60. (Opis w Bl. Nr 32).



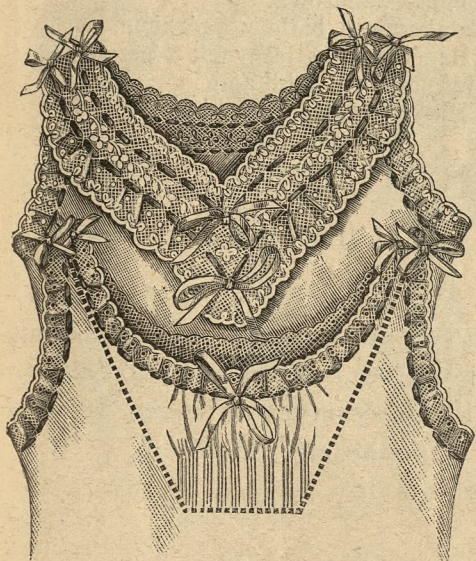
Nr 32. Plecy do  
Nr 34.



Nr 33. Plecy do  
Nr 35.



Nr 19. Półkoszulek  
z shirtingu. (Krój i opis  
pierw. str. tabl. Nr IX,  
fig. 27 i 28).

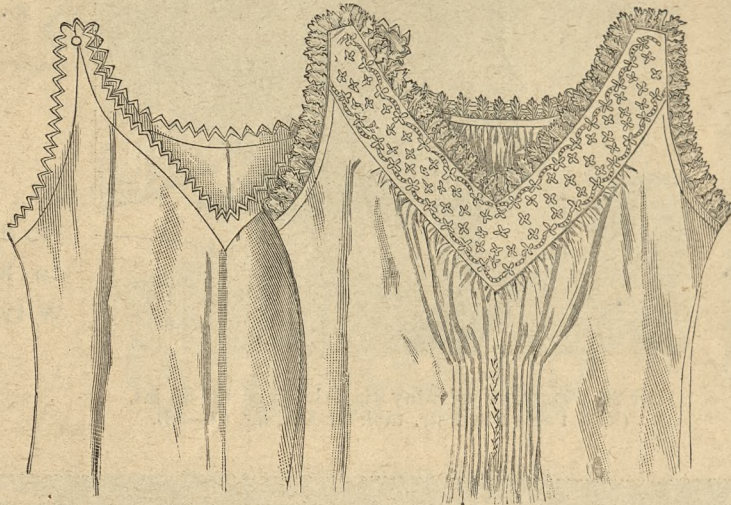


Nr 22. Koszula ubrana koronką.  
(Opis odwr. str. tabl.).

Nr 23. Koszula z karczkiem.  
(Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 26)

Nr 17. Staniczek pod spód bez boczkwów.  
(Krój odwr. str. tabl. Nr XVIII, fig. 63  
i 64). Opis w Bl. Nr 32.

Nr 18. Staniczek pod spód  
z shirtingu. (Kr. i op. odwr.  
str. tabl. Nr XIII, fig. 39-43)



Nr 26. Koszula z dzierganym szlaczkiem.  
(Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 25 i odwr. str. tabl.  
Nr XVII, fig. 61 i 62).

Nr 27. Koszula z haftowanym karczkiem.  
(Opis w Bl. Nr 32).



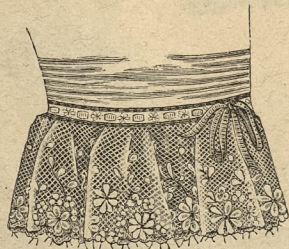
Nr 24. Majtki z szerokim karczkiem.  
(Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 18 i 19).

Nr 25. Majtki zapinane na boku.  
(Krój odwr. str. tabl. Nr XIX, fig. 65 i 66).

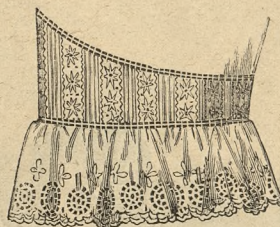


Nr 30. Nočna koszula z haftem.  
(Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIV,  
fig. 44-48).

Nr 31. Koszula nočna ozdobiona obrąbkami.  
(Krój odwr. str. tabl. Nr XX, fig.  
67-72).



Nr 20. Ubranie majtek.  
(Opis odwr. str. tabl.).



Nr 21. Ubranie majtek.  
(Opis w Bl. Nr 32).



Nr 28. Kaftanik z kolorowym haftem.  
(Krój i wzór haftu odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 49-54 i pierw. str. tabl. Nr II,  
fig. 10-15).

Nr 29. Kaftanik ze zmarszczonym przodem.  
(Opis w Bl. Nr 32).

dług ryciny. Na przedni brzeg zmarszczyć koronkę na 5 cent. szer., przybrać kokardami ze wstążki podług ryciny.

### Czepeczek ranny z koronki i wstążki.

Rycina Nr 11 w Bl. Nr 34.

Foremkę z petynетки 18 cent. szer. a 21 cent. dług. obszytą drucikiem ułożyć w kółko w drobne fałdki. Do przybrania służą dwa końce koronki dług. 63 i 92 c., 18 cent. szerokiej. Niebieska jedwabna wstążka wykończy całość podług ryciny.



Nr 34. Suknia z bengaliny i koronki  
(do ryc. Nr 32). Opis w Bl. Nr 32.

Nr 35. Suknia z krepy i haftowanej gazy  
(do ryc. Nr 33). Opis w Bl. Nr 33).

### Serwetka ozdobiona haftem.

Rycina Nr 32 w Bl. Nr 34. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XXII, fig. 74).

Serwetka wykonana z tkaniny lnianej gobelinowej koloru popielatego 86 centim. dług. Szlak 20 cent. szer. na podkładzie z tkaniny niedzielonej, wykonany krętą bawełną koloru niebieskiego i ponsowego podług fig. 74. Ściegi przejmować stosownie do potrzeby przez 1, 2 lub 3 podwójne nitki tkaniny. Rzędy otaczające ścięciem płaskim, ale nie poziomym, tylko prostopadłym ścięciem, przejmując przez dwie



nitki. Figury ponsowe w kształcie pręcików otaczać niebieską bawełną. Dolny brzeg wykończyć frendzlą plecioną na przemiany: cztery nitki podwójne grubej niebieskiej i ponsowej bawełny, każda 60 centim. dług. w odstępach pół centim. Po wykończeniu frendzlę obciąć równo.

### Stanik z szerokim pasem i kaftanikiem bez rękawów.

Rycina Nr 36 w Bl. Nr 34.

Stanik z materiału jedwabnego w białe i granatowe pasy, wykonany sposobem bluzkowym i zapinany z boku. Szeroki fałdowany pas z tegoż samego materiału. Rękawy złożone z podwójnych buff z materiału krajanego w ukos. Kaftanik podług ryciny z materiału jedwabnego koloru granatowego.

## Przepisy gospodarskie.

### Fasola zielona na konserwę w butelkach.

Wybrać najcieńszą, świeżą zupełnie i bardzo zieloną fasolę, obciągnąć nitkę z boku zostającą i napchać w butelki, założyć watę i obwiązać



Nr 36. Płaszcz podróżny dla chłopca od 13—15 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 34—38).

pecherzem. Wstawić w kociołek z zimną wodą, postawić na ogniu i gotować od zagotowania całą godzinę a nawet jeżeli się bardzo gwałtownie nie gotowało, to godzinę i minut dziesięć. Nie wyjmować butelek aż woda zupełnie ostygnie. Podając do stołu urządzać zupełnie jak świeże, albo rozgrzane w gorącej wodzie podać do świeżego masła po angielsku, albo szadkować cieniutko podłużnie, w maśle, i polać młodem masłem z rumianą bułeczką. L. C.

### Obiad higieniczny.

1. Zupa kalafiorowa.
2. Sztukamięsa biała z ogórkiem.
3. „Macédoine“ z jarzynek z grzankami.
4. Gęś młoda z jabłkami.
5. Ciastka kruche z wiśniami.

### U W A G A.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.



Nr 37. Saknia z bluzką (do ryc. Nr 40). Wzór kroju fig. III i IV i opis odwr. str. tabl.

Nr 38 i 39. Suknia z haftowanego jedwabnego materiału z dżetem i riuszą. (Opis w Bl. Nr 32).

Nr 40. Przód do ryc. Nr 37.